



Day Leclair



*Urowadzona
panna młoda*

Tytuł oryginału: The Forbidden Princess



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Merrick Montgomery przyglądał się uważnie kobiecie, której życie miał za chwilę zrujnować... I która, w rezultacie, mogła zrujnować jego życie.

Alyssa Sutherland była olśniewająco piękna. Ponętna nawet w srebrnej sukni ślubnej, którą miała na sobie. Wyregulował lornetkę, by lepiej widzieć. Siedziała bez ruchu, a wokół niej kłębił się tłumek kobiet. Jak barwne motyle. Była wspaniale zbudowana. Bliska ideału. Blask słońca rozświetlał jej jasne włosy i dodawał złotego blasku.

Merrick zapragnął gorąco zobaczyć ją nagą. Przekonać się, czy reszta ciała dorównuje urodę jej twarzy. Nie miał wątpliwości, ale chciałby się co do tego upewnić.

Miała mleczną skórę i figurę bogini. Znał ten typ kobiet. W łóżku potrafiły być wulkanem energii.

Ale to nie miało znaczenia. Sprzedała się Brandtowi von Folke, czym zmusiła go do działania.

- Merrick.

Szept za uchem przywołał go do rzeczywistości. Zaciśnął wargi. Pozwolił, by kobieta Sutherlandów tak zawładnęła jego myślami, że zapomniał o celu swojej wyprawy. Rozzłościło go to. Nie zdarzyło mu się to nigdy dotąd. Przez te wszystkie lata kiedy był dowódcą Królewskich Sił Specjalnych. Ale ta kobieta... Posłał jej ostatnie spojrzenie. Jej uroda była prawdziwym kłopotem. Za wszelką cenę musiał się skupić na stojącym przed nim zadaniu.

Poprawił lornetkę i powolnym ruchem rozejrzał się dookoła. Miał do pokonania nie lada przeszkodę. Ośmiu roślących strażników. Sześciu z przodu i dwóch w głębi, przy drzwiach do kaplicy. Spojrzał na zegarek i krótkim gestem przesłał sygnał towarzyszącym mu mężczyznom. Powinni ruszyć za dziesięć minut.

Ponownie skierował lornetkę na kobietę Sutherlandów. Jej twarz przypominała owalną, porcelanową maskę. Nie znać na niej było żadnych emocji. Żadnych uczuć. Oczy miała spuszczone. Siedziała bez ruchu. W pewnym momencie spostrzegł delikatne drżenie jej warg. Zdenerwowanie? Wahanie? Chyba nie. Nie ona. Modlitwa dziękczynna? To już prędzej.

Przygryzł wargę. Módl się, kobieto, pomyślał. Módl się ze wszystkich sił. I tak nic ci to nie pomoże. Za kilka minut zostanie uprowadzona. Dołoży wszelkich starań, by ten dzień zakończył się całkiem inaczej, niż to sobie zaplanowała.

- Już czas - odezwał się Merrick. - Musimy zrobić wszystko, żeby ta kobieta nie poślubiła Brandta von Folke. Zrozumieliście?

Nie czekał na odpowiedź. Mógł polegać na swoich ludziach. Bez wahania wypełniali jego rozkazy. Uśmiechnął się ponuro. Przyszłość nie budziła wątpliwości. Powody były jasne. Konieczność niewątpliwa. Postąpi źle dla wielu dobrych powodów. Z najbardziej szlachetnych pobudek porwie innemu mężczyźnie pannę młodą.

Alyssa Sutherland siedziała w milczeniu, choć wokół panował chaos. Z największym trudem zachowywała spokój. Powstrzymywała się przed zerwaniem się na równe nogi i rozpędzeniem wrzaskiem otaczającego ją tłumu jazgoczących kobiet. Chciała zostać sama. Choćby na kilka minut.

Żeby w ciszy pozbierać myśli. Popłakać. Uwierzyć chociaż przez chwilę, że może się zdarzyć cud. Że ktoś ją wybawi z tego koszmaru.

Zdarzenia ostatniego tygodnia gnały na złamanie karku, nie zostawiając chwili wytchnienia. Nie było minuty na rozmyślania. Na walkę. Negocjacje czy protest. Albo na ucieczkę. Słyszała tylko polecenia, które musiała wykonywać bez oporów.

I wykonywała je. Bo nie miała wyboru.

- Księżniczko Alyssa, już czas. - Kobieta mówiła po angielsku z delikatnym akcentem. Ale wszyscy ludzie, z którymi Alyssa ostatnio się zetknęła, posługiwali się językiem angielskim z wielką biegłością. - Powinnaś wejść już do kaplicy.

Posłała kobiecie, lady Bethany Cośtam, przeciągłe spojrzenie.

- Wystarczy Alyssa. Nie jestem księżniczką.

- Ależ jesteś, Wasza Wysokość.

Alyssa zacisnęła powieki w niemej rozpacz. Spuściła głowę. Choć bardzo się starała, nie potrafiła opanować drżenia warg.

- Jeszcze chwilę - wyszeptała.

- Bardzo mi przykro, Wasza Wysokość. To niemożliwe.

Ileż to razy w minionym tygodniu słyszała podobne słowa? Zawsze uprzejmie, zawsze wypowiedziane z wyszukaną elegancją. I zawsze znaczyły to samo: Nie licz na to, że choćby na sekundę zostaniesz sama. Będziesz pilnowana nieustannie. Tak jak teraz...

Tytułowali ją księżniczką. Zginali się w ukłonach. Obchodzili się z nią, jakby była wykonana z kruchego szkła. Nie udawali. Alyssa czuła to. Może w tym jest moja szansa? - pomyślała.

Wzięła głęboki wdech. Uniosła głowę i wbiła w lady Bethany lodowate spojrzenie.

- Muszę na chwilę zostać sama - powiedziała.

Lady Bethany zakreśliła się nerwowo i zerknęła przez ramię.

- Nie sądzę...

- Nie pytam, co pani sądzi. Mówię, że potrzebuję pięciu minut samotności, zanim wejdę do kaplicy. Muszę... pozbierać myśli.

Przygotować się do ceremonii. Żeby nie zawieść mojego... - Z trudem przełknęła ślinę. - Mojego przyszłego męża.

Lady Bethany była bliska paniki.

- Nie sądzę, żeby Jego Wysokość to zaaprobował. Rozkazał... Prosił, żebyśmy pani nie odstępowały ani na chwilę.

- Strażnik zapewni mi bezpieczeństwo. - Alyssa poczuła nadzieję.

- Ale Jego Wysokość...

- Zgodziłby się na drobne odstępstwo w dniu mojego ślubu - powiedziała Alyssa stanowczo. - Może zapytajmy księcia Brandta?

Przekonamy się, kto ma rację.

To był dobry cios. Lady Bethany pobladła. Zrobiła krok do tyłu.

- To nie będzie potrzebne, Wasza Wysokość - rzuciła pośpiesznie. - Poproszę strażnika, żeby towarzyszył pani do kaplicy, kiedy będzie pani gotowa. Czy pięć minut wystarczy?

Pięć minut. Pięć krótkich minut. Jak w takim czasie przygotować się na to, co ją czekało?

- Wystarczy - odparła. - Dziękuję. Musi wystarczyć.

Towarzyszące jej kobiety zbiły się w ciasną grupkę. Zerkając nerwowo w jej kierunku, rozmawiały gorączkowo w swoim narodowym

języku - języku kraju Verdonia, którego Alyssa w ogóle nie rozumiała. Po chwili odeszły w stronę kaplicy.

Alyssa odetchnęła głęboko, wstała i poszła w stronę ogrodu.

Największy ze strażników ruszył za nią w niewielkiej odległości.

Usiadła na kamiennej ławce w najdalszym kącie ogrodu.

Wcześniej rano padał deszcz, lecz teraz słońce grzało nawet przez liście drzew. W oddali widać było tęczę. Znak lepszych czasów, jak zawsze mawiała jej mama.

- Na jej końcu czeka złoty skarb, Ally, kochanie - mówiła. - Pewnego dnia go znajdziemy.

- Ale nie dzisiaj, mamo - szepnęła Alyssa.

Tym razem nie zdołają uciec od kłopotów. Nie będzie nowego początku. Nowego ojczyzna. Nie będą znowu musiały się wymykać w środku nocy i uciekać w daleki świat. Tym razem popadły w tarapaty tak wielkie, że nie można było od nich uciec.

Kolejna fala paniki na moment odebrała jej oddech. Rozszerzonymi oczami rozglądała się dookoła. Patrzyła na przechadzającego się nieopodal strażnika. Starła się oddychać powoli, równomiernie. Głęboko w płuca wciągała powietrze europejskiej Verdonii.

W innych okolicznościach piękno tego państewka zachwyciłoby ją. Teraz jednak była samotna i przerażona. Desperacko szukała jakiegokolwiek wyjścia z tego koszmaru.

Byłoby inaczej, gdyby nie ruszyła na ratunek Angeli. Ale nie mogła zignorować wezwania. Koperta ekspresowa zawierała list z rozpaczliwym błaganiem o pomoc i bilet lotniczy do Verdonii. Alyssa odsunęła więc rozpoczęcie nowej pracy i wsiadła do samolotu. Na lotnisku czekała na nią

limuzyna. Nie przypuszczała, że na miejscu zostanie zmuszona do małżeństwa. Żeby ratować matkę.

Wbrew swojej woli znalazła się w samym centrum politycznej rozgrywki, której nie rozumiała. Mama próbowała wytłumaczyć jej wszystko, ale nie zdążyła. Z krótkich, urywanych zdań Alyssa dowiedziała się jedynie, że wszyscy uważali ją za księżniczkę z Verdonii i że jej ślub z Brandtem von Folke może przywrócić pokój między dwiema zwaśnionymi prowincjami. Nie zostawiono jej wielkiego wyboru. Albo powie „tak”, albo jej matka poniesie wszystkie konsekwencje.

- Proszę wybaczyć, Wasza Wysokość. Już czas.

Alyssa otworzyła oczy. Przed nią stał zwałisty strażnik.

-Już?

- Już czas - powtórzył. W jego brązowych oczach spostrzegła cień współczucia.

Miała poprosić o jeszcze kilka chwil zwłoki, ale nie zdążyła.

Usłyszała tuż przy uchu cichy świst. Strażnik uniósł rękę do szyi i upadł na kamienną ścieżkę. Przerażona Alyssa zerwała się na równe nogi.

Nie zdążyła zrobić nawet kroku, gdy silne ramię chwyciło ją w pasie i podniosło do góry. Wielka dłoń zakryła jej usta.

Poczuła zapach napastnika. Zdumiewająco cywilizowany. Cedr i korzenie. Lecz musiało być jeszcze coś innego. Jakiś niewyczuwalny feromon, który sprawił, że jej serce zabiło mocniej. A oczami wyobraźni zobaczyła skradającego się po afrykańskiej sawannie lwa. Skradał się do niej.

Alyssa zerwała się do walki. Szarpała się, kopała i wierzgała. Bez skutku. Na karku czuła ciepło jego oddechu. Usłyszała cichy śmiech.

- Uspokój się, księżniczko - powiedział. - Walka nic ci nie da.
Szybko opadniesz z sił i tylko ułatwisz mi zadanie.

Mówił z charakterystycznym akcentem, który słyszała u mieszkańców Verdonii, ale bez wątpienia był człowiekiem wykształconym. To spostrzeżenie pozwoliło jej opanować panikę. Myślała gorączkowo. Szukała ratunku.

Znieruchomiała. Usłyszała pomruk zadowolenia. A po chwili kilka wypowiedzianych cicho słów w niezrozumiałym dla niej języku. Nie były skierowane do niej. Wyczuła obecność innych mężczyzn wokół siebie.

Napastnik podniósł ją i poniósł w stronę lasu. Kątem oka dostrzegła dwóch ubranych na czarno mężczyzn. Czego od niej chcieli? Co zamierzali? Wielkie nieba! Marzyła o tym, żeby uciec od tego ślubu, ale przecież nie w taki sposób. Nie kosztem mamy! Odruchowo napreżyła się do walki.

- Nie próbuj - usłyszała cichy szept. Poczwała na policzku muśnięcie pokrytej lekkim zarostem brody. Zadrżała. - Zaczynij się znów szarpać, to cię zwiążę. Chcesz tego?

Boże! Tylko nie to! Gorączkowo pokręciła głową. Welon jej się zsunął i zasłonił pół twarzy. Przerazenie niemal odbierało jej oddech. Panika zajrzała jej w oczy. Walczyła z nią rozpaczliwie.

Zanim doszła do siebie, znaleźli się na wąskiej drodze wśród drzew. Stały tam dwie furgonetki. Czarna i srebrna. Usłyszała, że z jednego z aut wysiadła piąta osoba. Jej serce ścisnęło się żałościwie. Nie miała żadnych szans.

- Już czas - powiedział niosący ją mężczyzna. Na szczęście dla Alyssy rozmawiali po angielsku. - Nie musisz tego robić. Możesz się jeszcze wycofać.

- Nie mogę i nie chcę. Są... powody.

Słyszając kobiecy głos, Alyssa zeszywniała. Kątem oka dostrzegła srebrny błysk. Zaczęła się odwracać, żeby się przyjrzeć bliżej, lecz silne ręce prześladowcy uniemożliwiły jej to.

- Pospiesz się, Merricku - ponagliła kobieta półgłosem. - Mamy mało czasu, zauważą jej zniknięcie.

Zerwał jej z głowy welon i rzucił kobiecie.

- Będzie dobry?

- Doskonały. Nasze suknie są niemal Identyczne. Welon pozwoli ukryć drobne różnice.

Potem powiedziała jeszcze coś po verdoniańsku, na co Merrick parsknął śmiechem. Ale jego odpowiedź zabrzmiała bardzo łagodnie. Z miłością. Zdumiewające. Po chwili Alyssa usłyszała oddalające się delikatne kroki. Nieznajoma poszła w stronę kaplicy.

Zostali sami. Merrick postawił ją na ziemi i obrócił twarzą ku sobie. Przyjrzała mu się uważnie i zadygotała. Miała wrażenie, że lew, który zagościł wcześniej w jej wyobraźni, odrodził się w postaci mężczyzny.

Miał ciemnobrązowe włosy układające się w fale, wystające kości policzkowe i brązowe oczy ze złotymi iskierkami. W poprzek policzka, aż po kącik ust, biegła szeroka blizna.

Był to mężczyzna, który całe życie spędził, igrając z niebezpieczeństwem. Bezwzględny, bezkompromisowy i twardy. Nie z tych, którzy potrafią ulec kobiecemu czarowi. Albo miłości.

Przycisnął ją do drzewa. Jedną ręką wciąż zasłaniał jej usta. Kora boleśnie wbijała jej się w plecy.

- Puszczę cię, jeśli obiecasz, że nie będziesz krzyczeć. W przeciwnym razie zakleję ci usta taśmą. Zrozumiałaś?

Ostrożnie kiwnęła głową. Palec po palcu, powoli cofnął dłoń. Spojrzała mu w oczy. Nie zamierzała błagać i prosić. Chciała usłyszeć odpowiedzi na pytania.

- Dlaczego? - szepnęła. Wzruszył ramionami.

- Jesteś pionkiem, który zamierzam usunąć z pola gry.

Serce jej załomotało. Jak zamierzał ją usunąć? Czy chciał... ją zabić? Zrobiło jej się duszno z przerażenia.

- Czy nie ma innego sposobu? - wydusiła.

Patrzył na nią twardo. Bezlitośnie. Nie był mężczyzną, którego mogły wzruszyć kobiece łzy. Był nieczuły. I zdecydowany. Nie była w stanie go powstrzymać.

- Nie mogłem dopuścić do tego ślubu. - Zawahał się. Lecz zaraz dodał: - Potrzebna mi twoja suknia.

- Moje co? - spytała zaskoczona.

- Twoja ślubna suknia. Zdejmij ją.

- Ale... po co?

- Zła odpowiedź. Pokręciła głową.

- Ta też ci się nie spodoba - mruknęła. - Nie mogę jej zdjąć.

Miała rację. Ta odpowiedź mu się nie spodobała. Zmarszczył brwi i zacisnął usta.

- Uważaj, księżniczko - warknął. - Albo sama ją zdejmiesz, albo ja to zrobię. Twój wybór.

Ogarnęła ją gwałtowna wściekłość. Wiedziała, że miała tylko dwa wyjścia. Mogła się poddać strachowi i zacząć krzyczeć wniebogłosy, chociaż wiedziała, że gdy zacznie, nie będzie już mogła przestać... Dopóki on jej nie uciszy. Być może na zawsze. Mogła też zachować w tej niezwyklej sytuacji resztki godności.

-Mówię prawdę. - Popatrzyła mu prosto w oczy. -Nie mogę zdjąć sukni. Została zszyta na mnie. Przypuszczam, że to tutejszy zwyczaj. Jeśli zamierzasz mnie zabić, to się nie krepuj.

- Zabić cię? - Dostrzegła dziwne błyski w jego oczach. Zaskoczenie? Zniecierpliwienie? Obraza? - Nie zamierzam cię zabijać. Ale potrzebna mi ta suknia. Za bardzo zwraca na nas uwagę. Zatem, jeśli sama nie możesz jej zdjąć, ja to zrobię.

Usłyszała charakterystyczny odgłos tarcia metalu o skórę. Odruchowo spojrzała w dół. Z przypiętej do nogi pochwy wyciągnął długi nóż. Jej serce zatrzymało się na moment. Zrobiło jej się ciemno przed oczami.

-Nie...

Nie zdołała go powstrzymać. Dłoń z nożem zatoczyła krótki łuk i jednym cięciem przecięła przód sukni. Przez krótką chwilę poczuła chłód ostrza między piersiami. Ściągnął zniszczoną suknię z jej ramion. Z cichym szelestem jedwab spłynął na trawę u jej stóp.

Odwróciła się, pobladła na twarzy. Z trudem łapała powietrze.

Merrick przyglądał jej się wyraźnie zde gustowany tym, co musiał zrobić. Do czego został zmuszony z powodu von Folkego. A przy tym nie mógł jej nie podziwiać. Już po chwili jej błękitne oczy odzyskały blask. Ruszyła do ataku.

- Ty draniu! Uśmiechnął się blado.

- Uprzedzałem cię.

Oparła się plecami o drzewo. Skrzyżowała ramiona. Z zachwytem przyglądał się jej mleczonej skórze. I w każdym calu doskonałej figurze.

Mimo drobnej postury miała nadszpiewanie pełne piersi, szczelnie wypełniające stanik bez ramiączek. Różowa zapinka między piersiami aż się prosiła, by ją rozpiąć.

Opuścił wzrok niżej i uśmiechnął się. Miała na sobie powłóczystą halkę. To zapewne także był regionalny zwyczaj.

Dosyć zabawy, pomyślał. Znów ogarnął go niesmak, ale musiał zrobić to, co musiał. - Nie ruszaj się - rozkazał.

Uniósł wysoko nóż i pozwolił jej się mu przyjrzeć przez kilka sekund. Potem wbił go w pień drzewa poprzez materiał halki, unieruchamiając ją. Podniósł z ziemi suknię i zaniósł do samochodu. Któryś z jego ludzi pozbędzie się jej później.

Zatrzymał się i z zaciekawieniem czekał, co też zrobi kobieta Sutherlandów. Od jej wyboru zależało, jak się dalej potoczą sprawy.

Nie był zaskoczony, gdy usłyszał trzask rozdzieranego materiału.

Odwrócił się i zobaczył, jak oderwawszy się od drzewa, puściła się biegiem, na ile było to możliwe w szpilkach, do lasu. Strzępy halki furkotały za nią jak chorągwie. Na szczęście nie krzyczała. Wyciągnął nóż z pnia i ruszył w pościg. Zdążyła już zrzucić pantofelki i gnała ile sił w nogach.

Merrick zacisnął zęby. Maskarada Miri nie mogła wystarczyć na długo. A zanim von Folke ją odkryje, powinien zabrać księżniczkę jak

najdalej. Przyspieszył. Odczekał jeszcze kilka kroków, żeby móc skontrolować ich upadek, i rzucił się na nią.

Określił się w locie tak, żeby wziąć na siebie impet uderzenia o ziemię. Jedną ręką chwycił ją w pasie, drugą za szyję, żeby nic jej się nie stało. Przez kilka chwil szarpała się gwałtownie. W końcu uległa.

- Nie słuchałaś uważnie - wysyczał wprost do jej ucha. - To cię będzie kosztowało, księżniczko.

- Nic nie rozumiesz. - Mówiła głosem zduszonym przez jego ramię. - Muszę wrócić do kaplicy. Muszę wziąć ten ślub. Jeśli tego nie zrobię...

- Jeśli tego nie zrobisz, nie zostaniesz Jej Wysokością, królową Verdonii. O to chodzi?

- Nie! Nie rozumiesz. Moja mama. On ma moją mamę.

- Jeśli jesteś do niej choć trochę podobna, na pewno da sobie radę.

Rozluźnił uścisk i obrócił się. To był błąd. Patrzył na jej rozsypane na trawie złote loki i z największym trudem zdołał się powstrzymać przed dotknięciem ich. Pogłaskaniem jej po tej ślicznej buzi.

Strzępy halki pozwijały się wokół jej bioder i nóg. Przez szerokie rozdarcia zobaczył koronkowy pas i jedwabne pończochy nadające blasku jej długim nogom. Do tego niemal nieistniejący staniczek, który aż się prosił, by go zerwać.

Merrick zeszywniał pod wpływem nieoczekiwanych pragnień. Niemał się wściekł, kiedy spostrzegł, z jakim wysiłkiem przyszło mu nad sobą zapanować. Tylko lata ćwiczeń pozwoliły mu wytrwać.

Pod srebrną suknią ślubną ubrana była tak, żeby nęcić i uwodzić. Żeby doprowadzić mężczyznę do granic wytrzymałości.

Czuł na sobie spojrzenie jej błękitnych oczu. A wyobraźnia podsuwała mu szalone obrazy zmysłowych chwil z nią. Powoli namiętność zaczęła mu rozpalać krew.

Zapragnął tej kobiety jak żadnej dotąd. W całym swym dwudziestodziewięcioletnim życiu.

Z najwyższym trudem wydusił przez ściśnięte gardło:

- Wystarczyło, że von Folke zobaczył ciebie, żeby pomyślał, że spełniają się wszystkie jego marzenia.

Ku jego zaskoczeniu zadygotała.

- Jeśli nawet go pociągałam, nigdy mi tego nie okazał. - Spróbowała się uwolnić, wypychając przy tym biodra i piersi do przodu. - Proszę, puść mnie.

Kilka chwil trwało, zanim zwierzęce instynkty, które nim targały, zdołał pokonać siłą woli i rozumu.

- Bardzo dobrze, księżniczko - powiedział. Ale chyba jednak jeszcze nie do końca odzyskał rozum, bowiem dodał: - Ale ostrzegałem cię, że próba ucieczki będzie kosztować. Pora zapłaty.

Schylił się i pocałował ją. W najwspanialsze i najsmakowitsze usta, jakich kiedykolwiek próbował.

ROZDZIAŁ DRUGI

Gwałtowność pocałunku Merricka obezwładniła Alysę. Ta namiętność i zaborczość w niczym nie przypominały jej wcześniejszych doświadczeń z mężczyznami. Merrick był inny. Doświadczony i wprawny. Jego wargi rozpały ją, a język odbierał przytomność. Zaczęła płonąć. Żar oblewał każdy zakątek jej ciała.

Jęknęła głucho. Nie powinna tego pragnąć. Nie wolno jej było. A tymczasem leżała pod nim bez sprzeciwu. Nie broniła się. Wplótł palce w jej włosy, wsunął język w jej usta, drażnił, nęcił, zachęcał, by odpowiedziała tym samym.

I zrobiła to.

Kiedy jej ciało drżało z pożądania, jej umysł próbował protestować. Bez skutku. Rozchyliła wargi i wyszła mu naprzeciw. Może uległa tak łatwo, bo pomyślała, że w ten sposób zdoła uśpić jego czujność i zyska szansę do ucieczki? Wiedziała, że to nieprawda. Nie potrafiła wytłumaczyć, dlaczego w taki sposób zareagowała na Merricka. Żaden ze znanych jej dotąd mężczyzn nie wzbudził w niej takich pragnień.

Przeraziło ją to śmiertelnie.

Tymczasem jego ręka odbyła powolną wędrówkę wzdłuż jej policzka i szyi i zatrzymała się na piersi. Głaskał ją delikatnymi, kolistymi ruchami. Trącał kciukiem przeżącą się pod cienkim jedwabiem sutkę.

Zaskoczona i wstrząśnięta, krzyknęła cicho. Merrick zamierzał właśnie rozpiąć jej stanik, kiedy z oddali doleciało ich bicie dzwonów z

kaplicy, a organy zagrały marsza weselnego. W mgnieniu oka zerwał się na równe nogi. Blizna na jego opalonej twarzy zbielała jak kość.

- Co, do diabła? - Potrząsnął głową. Popatrzył na rozpaloną twarz Alyssy. - Bardzo sprytnie, panno Sutherland. Bardzo sprytnie. Zrobisz wszystko, nawet uwiedziesz nieprzyjaciela, żeby tylko przywdziać koronę Verdonii, prawda?

Podniosła się, sapiąc gniewnie.

- Ja cię uwiodłam? Jak śmiesz...

Ale on zerwał z siebie koszulę i rzucił w jej stronę. Sam został w obcisłej, czarnej koszulce, opinającej jego potężne mięśnie.

- Włóż to - rzucił.

- To ty mnie pocałowałeś, a nie ja ciebie. - Podwinęła za długie rękawy.

- A ty się zaciekle broniłaś, prawda? Zaczerwieniła się. Drżącymi palcami zapinała guziki koszuli. Nie szło jej najlepiej. To na pewno przez ten zapach, pomyślała. Koszula pachniała nim. Ale może przyczyną było też to, że wciąż zerkala w jego kierunku. Robił naprawdę piorunujące wrażenie.

W końcu jej się udało. Kiedy tylko skończyła, Merrick sięgnął do kieszeni. Przerazenie ją zmroziło, gdy wyjął rolkę taśmy klejącej. Nim zdążyła zaprotestować, zakleił jej usta i związał ręce.

- Zapamiętaj sobie - rzucił. - Nigdy więcej nie całuj złych chłopców.

Wściekle potrząsnęła głową w niemym proteście, lecz on się tym nie przejął. Przerzucił ją sobie przez ramię i ruszył do samochodu. Trzymał ją mocno. Czowała jego rękę na pośladkach i dreszcze przebiegły jej po plecach. Po chwili otworzył tylne drzwi furgonetki i włożył ją do środka.

- Bądź cicho i nie ruszaj się - rozkazał. - Nie zmuszaj mnie do wykonania bardziej zdecydowanych kroków. Kiwnij głową, jeśli zrozumiałaś, księżniczko.

Przez kilka sekund biła się z myślami. W końcu się poddała. Nie miała wyjścia. Zadowolony, rzucił na nią koc i zamknął drzwi. Po chwili usłyszała, że usiadł za kierownicą. Uruchomił silnik i ruszyli.

Czas dłużył jej się niemiłosiernie. Jechali drogą krętą i wyboistą. Słyszała albo cichy szelest piasku pod kołami, albo głośniejszy szum żwiru. Słońce opadało coraz niżej i niżej i Alyssa zaczęła tracić nadzieję, że jeszcze kiedykolwiek zdoła wrócić do kaplicy.

Domyśliła się, że kobieta, która należała do grupy Merricka, zajęła jej miejsce. Ale jak długo zdoła utrzymać to w tajemnicy? Ale co ważniejsze, nie mogła pojąć, dlaczego została porwana. Najwyraźniej w jakiś sposób została wpłątana w polityczne kłopoty Verdonii.

Zastanawiała się także, co też uczyni księżę Brandt, kiedy zauważy zamianę pańien młodych. Czy wyładuje furię na jej mamie? Czy mama jest bezpieczna? Co prawda przez cały czas pobytu w pałacu nigdy nie usłyszała żadnej groźby, ale w tej sytuacji niczego nie mogła być pewna.

Zacisnęła powieki, by powstrzymać łzy. Co będzie dalej? Powinna myśleć o ucieczce. Ale jeśli nawet by się jej powiodło, jak mogła pomóc mamie? Opadły ją wątpliwości. Okropne myśli kłębiły jej się w głowie. Panika niemal odbierała jej oddech. Nie widziała wyjścia z tej rozpaczliwej sytuacji.

Powoli dojrzewała w niej jedna myśl. Musi uciec i za wszelką cenę wrócić do księcia Brandta. Ale jak? W końcu dostrzegła cień nadziei.

Wszystko będzie zależało od tego, czy zrobi na porywaczu odpowiednio silne wrażenie. Czy będzie potrafił jej się oprzeć. Zauważyła pożądanie w jego cudownych oczach. Niezwykły głód w spojrzeniu, kiedy wpatrywał się w jej stanik. Widać było, że mu się podobała. Skoro więc nie ma innego wyjścia, postanowiła go uwieść. A potem wrócić do księcia Brandta i poślubić go, jeśli to zapewni bezpieczeństwo jej mamie.

Plan był przerażający. Jeszcze tydzień wcześniej nawet przez myśl by jej nie przeszło, że mogłaby się ważyć na coś takiego. Ale nic innego nie przychodziło jej do głowy. A czas był jej wrogiem.

Zrobiło jej się niewygodnie na podłodze. Wsunęła się więc na kanapę i podłożyła koc pod głowę. Po kilku minutach bolesnej pracy udało jej się odkleić taśmę z ust. Uniosła głowę. Nabrała głęboko powietrza i odważyła się powiedzieć:

- Musisz mnie odwieźć z powrotem.

Nie wydawał się zaskoczony jej głosem. W końcu gdyby naprawdę chciał ją zakneblować, okręciłby taśmę wokół głowy. A ręce skrepowałby na plecach. Skrzywiła się z niesmakiem. Dlaczego nie pomyślała o tym kilka godzin wcześniej?

- Nigdzie nie wrócisz. Usiadła.

- Dlaczego? Dlaczego mnie porwałś?

- Połóż się - rzucił. - Schowaj się albo znów cię zaknebluję.

Położyła się. Wołała nie ryzykować.

- Nie rozumiesz? Ja muszę tam wrócić. To sprawa życia lub śmierci.

- To bardzo melodramatyczne, księżniczko. - Szarpnął kierownicą.

Skręcili tak gwałtownie, że omal znowu się nie znalazła na podłodze. - Ale moje powody, dla których cię zabrałem, są równie ważne.

- Proszę. - Z trudem wydusiła błaganie. Wszystko dla mamy. - Wcale nie jestem melodramatyczna.

- Nie pora teraz na takie dyskusje. - Auto zahamowało gwałtownie. Tym razem wylądowała na podłodze. - Witaj w swoim nowym domu - usłyszała.

Zanim się zdążyła podnieść z podłogi, Merrick otworzył drzwi, podniósł ją i postawił ostrożnie. Energicznie potrząsnęła głową, żeby odrzucić włosy z twarzy i móc mu spojrzeć prosto w oczy. Bez butów, w postrzępionych resztkach ubrania czuła się bezbronna jak nigdy. Ale nie zamierzała się poddawać.

- Musisz mnie wysłuchać. Tu chodzi o coś więcej niż tylko o małżeństwo.

- Wiem o tym lepiej niż ty - odparł stalowym głosem. - To jest mój kraj, księżniczko. Przyjechałaś tutaj i naruszyłaś polityczną równowagę. Ja tylko tę równowagę przywracam, usuwając cię z równania.

-Musiałam tu przyjechać. Nie miałam wyboru. I w ogóle mnie nie obchodzą polityczne problemy tego kraju. Chodzi mi tylko o...

Urwała wystraszona wyrazem jego twarzy. Cofnęła się o krok. Jego oczy zapłonęły z wściekłości. Zrozumiała, że w przyszłości będzie musiała starannie dobierać słowa. Pochylił się ku niej i przerażającym szeptem powiedział:

- Interesujące. Tak mało cię obchodzą sprawy Verdonii, której królową zamierzałaś zostać? Ale, nie wiem dlaczego, nie jestem zaskoczony. Takim jak ty tylko sława i fortuna w głowie. Pieniądze i powszechne zainteresowanie, tylko na tym ci zależy. Tron. Korona. Klejnoty. - Oskarżycielsko wskazał wspaniały naszyjnik z ametystów i

brylantowe kolczyki, które miała na sobie. Książę Brandt nalegał, żeby je miała na sobie podczas ślubu. - Sprawy ludzi w ogóle cię nie obchodzą. Myślisz tylko o sobie.

Jego słowa dotknęły ją do żywego. Nie było w nich ani odrobiny sensu. Ale instynkt jej podpowiedział, żeby się nie odzywała i nie spierała. Puścił jej ramię i poprowadził do małego domku stojącego wśród wysokich drzew. Drobne kamyki torturowały jej stopy. W zapadającym zmroku zauważyła, że dom był uroczy, z balkonem na piętrze. Musiał się stamtąd roztaczać piękny widok.

- Gdzie jesteśmy? - spytała.

Zatrzymał się przed drzwiami i wyjął z kieszeni pęk kluczy.

- W Avernos, blisko granicy z Celestią. Nic jej to nie powiedziało.

- Po co tu przyjechaliśmy? Dlaczego mnie porwałś? Co mi zamierzasz zrobić? - Pytała, chociaż nie liczyła na odpowiedź.

Otworzył drzwi i bez słowa wszedł do środka. Kiedy zaświecił światło, rozejrzała się po wnętrzu. Przed sobą miała szerokie schody. Z lewej zobaczyła wielki pokój z kominkiem i sięgającymi sufitu półkami z książkami. Po prawej stronie była jadalnia, a w głębi drzwi do kuchni.

Tam właśnie poprowadził ją Merrick.

- Chodźmy coś zjeść - powiedział.

- Nie mam ochoty.

- Nie? - Wysoko unióśł brwi. - To może wrócimy do tego, co przerwaliśmy?

Stanął jej przed oczami obraz ich dwojga na trawie, całujących się namiętnie. Niemal poczuła na sobie jego dłonie. Zaszło jej w gardle.

Boże! Wciąż czuła smak jego ust. Gorzej. Pragnęła posmakować ich raz jeszcze.

- Nie całuję złych chłopców, zapomniałeś?

Uśmiech rozjaśnił mu oblicze. I stał się jeszcze przystojniejszy. Tłumione pożądanie znów ścisnęło jej trzewia. Musiał to zauważyć, gdyż uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Jesteś pewna?

- Absolutnie.

Jakże była głupia, kiedy sobie wyobrażała, że będzie w stanie uwieść tego człowieka. Rozmyślała o tym tak długo, a nigdy się nie zastanawiała, jakby to miało wyglądać. Czy miała zarzucić mu na szyję związane ręce? Czy to by wystarczyło? A może musiałyby się posunąć dalej? Pocałować go? Czy może jeszcze więcej? Poczowała dreszcze na plecach. A gdyby się już to stało, co dalej? Musiałyby go uderzyć, pozbawić przytomności.

Przyjrzała się jego muskularnej sylwetce. Jak chciałaś tego dokonać? - pomyślała. Tym bardziej że za każdym razem, gdy się znalazła w zasięgu jego ramion, aż się kurczyła z pożądania.

Zacisnęła wargi. Skoro ta droga wiodła donikąd, musiała wymyślić inny sposób ucieczki.

-I co, księżniczko? Rozumiem, że twoje milczenie oznacza zgodę na jedzenie.

- Jeśli mam do wyboru jedzenie albo powrót do tamtego, zdecydowanie wolę jedzenie. - Jej oschły ton rozbawił go. - Może mi w końcu wyjaśnisz, dlaczego robisz to wszystko?

Wzruszył ramionami. Delikatnie popchnął ją do kuchni.

- Wiesz dlaczego - obruszył się. - Daruj sobie te sztuczki.

- Sztuczki? Zapewniam cię, że nie mam pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi.

Kiedy się znaleźli w kuchni, wskazał jej fotel przy prostym stole kuchennym stojącym przed wielkim oknem. W ostatnim blasku dnia zobaczyła za oknem ogród pełen wspaniałych roślin.

- Usiądź. Nie ma sensu dalsze udawanie.

- Niczego nie udaję.

Znów dopadła ją panika. Odetchnęła głęboko, by się uspokoić. Usiadła w fotelu, skuliła się, podciągnęła kolana pod brodę i okryła się strzępami halki. Przez dziury w pończochach wystawały palce z pomalowanymi na różowo paznokciami. Wpatrując się w smugi błota na własnych stopach, zastanawiała się, w jaki sposób się wyrwać Merrickowi. Czasu miała coraz mniej. Musi się pospieszyć, jeśli chce uratować mamę.

- Dlaczego wszyscy mnie nazywają księżniczką Alyssą? Nie jestem księżniczką.

Merrick, który wyjmował właśnie jedzenie z lodówki, obrócił się i popatrzył na nią uważnie.

- Jesteś księżniczką Alyssą, księżną Celestii.

- Nie. Nazywam się Alyssa Sutherland i wkrótce będę asystentką dyrektora działu kadr w Bank International.

- Wyjechałaś z Verdonii, kiedy miałaś nieco ponad rok. Twoja matka, amerykańska studentka, która poznała księcia podczas wakacji, wyszła za niego, po czym po dwóch latach się z nim rozwiodła. Wywołało to wtedy mały skandal. Najwyraźniej nie tak sobie wyobrażała życie księżnej. Po rozwodzie zabrała cię do Stanów Zjednoczonych. Twój ojciec i starszy brat przyrodni zostali tutaj.

Alyssa zawahała się.

- Opowiadała mi trochę o tamtych czasach. Mój ojciec nie był księciem, a ja nie jestem księżniczką.

- Najwyraźniej twoja matka wolała pominąć kilka znaczących szczegółów z twojej przeszłości.

Po raz pierwszy zwątpienie zagościło w jej duszy. Co mama powiedziała, kiedy pozwolono im porozmawiać przez kilka minut? Była roztrzęsiona, mówiła nieskładnie. Wciąż przepraszała Alysę, że podstępem zwabiła ją do Verdonii, i ani słowem nie ostrzegła, co jej grozi.

Ale wspomniała też coś o tym, że gdy opuszczała ten kraj przed dwudziestoma laty, nie przypuszczała, że Alyssa kiedykolwiek będzie musiała ponosić odpowiedzialność za brata. Brata, o którego istnieniu nie miała pojęcia. Jedno tylko zostało powiedziane jasno i bez ogródek. Żeby ocalić mamę, Alyssa musi poślubić księcia Brandta.

Spróbowała jeszcze raz.

- Wszyscy myślą, że jestem księżniczką. Zapewniam cię, że nie jestem. To jakaś okropna pomyłka.

Uśmiechnął się cierpko i zasalutował.

- Powinienem teraz uwierzyć w twoją historię i puścić cię wolno? Niezła próba, ale nieudana.

- Nie. Miałam nadzieję, że zrozumiesz, że pojmałeś niewłaściwą osobę i pomożesz mi dociec, o co w tym wszystkim chodzi. - Gniewnie tupnęła nogą. - Popeliłeś błąd. Nie jestem księżniczką, a tym bardziej nie jestem księżną Celdonii.

- Celestii - poprawił. - Verdonia to kraj. Celestia to jedno z księstw wchodzących w jego skład. I nie ma mowy o pomyłce. - Przechylił głowę na bok. - Uprzedzam lojalnie, ta taktyka jest nieskuteczna.

- To nie jest taktyka - rzuciła wściekle. - Nie mam pojęcia, co się tu dzieje.

- Dość!

Przestraszyła się.

- Dobrze - wyszeptała po chwili. - On ma moją mamę, Merricku. Trzyma ją jako zakładniczkę. Dlatego zgodziłam się za niego wyjść.

Merrick pohamował gniew. Było w jej głosie coś zastanawiającego. Słyszał wyraźnie strach i udrękę. Przypomniał sobie, że mówiła o mamie w lesie, ale wtedy sądził, że to kolejny wybieg dla odzyskania wolności. Z nieprzeniknioną twarzą usiadł przy stole, lecz w duchu kipiał z wściekłości na von Folkego.

- Żałosne - burknął.

- Muszę wiedzieć, co się tu dzieje. Proszę. - Wargi jej drżały. -

Możesz mi to wytłumaczyć?

- Jecz. Musisz być silna.

Podczas gdy ona jadła, Merrick bił się z myślami. Czy mógł uwierzyć, że nie współpracowała z von Folkem, że była tylko jego ofiarą? Jeśli mówiła prawdę, powinien jej wyjaśnić sytuację. Honor tego wymagał.

Wyszedł do sąsiedniego pokoju i po chwili wrócił z mapą. Rozłożył ją na stole i przycisnął narożniki butelkami z wodą. Wziął z kontuaru nóż i przeciął taśmę krepującą jej rękę, żeby było jej wygodniej jeść. Potem, wodząc po mapie ostrzem noża, mówił:

- To jest Verdonia. Składa się z trzech księstw. Słuchała z uwagą, rozcierając obolałe nadgarstki.

- Gdzie jesteśmy? - spytała.

- O nie, księżniczko. - Pokręcił głową.

- W przybliżeniu. Powiedziałeś, że na granicy Celestii i... i...

- Jesteśmy tuż przy granicy z Avernos. - Postukał w górną część mapy. - Jest to górzysta kraina obfitująca w ametyst. Kamienie szlachetne stanowią podstawę ekonomii Verdonii. Księstwem włada von Folke. - Ułamał kawałek chleba i zjadł. Potem wskazał nożem dół mapy.

- Najbardziej na południu leży Verdon, finansowe serce Verdonii.

- A prowincja pośrodku? - spytała.

Zakreślił czubkiem noża przypominającą literę S krainę wciśniętą między dwa księstwa.

- Celestia - powiedział. - Tam mieszkają rzemieślnicy, którzy obrabiają wydobywane na północy ametysty. Jeszcze dziesięć dni temu panował tam twój brat.

Pochyliła się i założyła za ucho opadające na oczy włosy. Przez tych kilka godzin przeistoczyła się z wyniosłej damy w wymiętą, lecz pełną powabu uwodzicielkę. Oba jej wcielenia podobały mu się bardziej, niż chciał przyznać przed samym sobą. Przeszkadzało mu to. Decyzja o uprowadzeniu jej była najtrudniejszą w jego życiu. Bo chociaż w słusznej sprawie, musiał postąpić niehonorowo. No i jeszcze te pragnienia! Nie mógł przestać o niej myśleć. Wyobrażać sobie, że jej dotyka... że się z nią kocha... Psiakrew!

Popchnął ku niej talerz z serami. Milczał, gdy bez zapału zjadła kawałek. Potem otworzyła butelkę z wodą i wypila wprost z niej.

Patrzył na nią i wciąż miał przed oczami obrazy z lasu. Gdy leżała na trawie. Pod nim. Słońce tańczyło po jej mleczej skórze. Delikatny zapach perfum unosił się nad nią. Jej akwamarynowej barwy oczy lśniły. Pragnął jej. Bardziej niż jakiegokolwiek innej kobiety. I gdyby nie rozdzwoniły się dzwony w kaplicy...

Zacisnął wargi. Niewiele brakowało, a zaprzepaściłby wtedy i własny honor, i zadanie, które miał do wykonania. Niewiele brakowało.

Przyglądała mu się z zaciekawieniem.

- Nie wyjaśniłeś mi, co się stało z moim bratem. Jaki jest jego związek z tą sprawą?

Nie musiał niczego tać.

- Dowiedziałem się od moich informatorów, że von Folke zapłacił mu bardzo dużo za abdykację. W ten sposób to ty stałaś się dziedziczką tronu w księstwie. Dotychczas byłaś księżniczką Alyssą. Teraz stałaś się księżną Celestii. A raczej, staniesz się, gdy się dokona oficjalna ceremonia w kościele.

- Nie chcę tego - zawołała z przestrawieniem.

- Czyżby?

Był pewien, że jego sceptycyzm ją zirytował. Ale zapanowała nad sobą.

- Nawet gdyby to miało być prawdą - powiedziała lekko drżącym głosem - to dlaczego książę Brandt zapłacił mojemu bratu za abdykację?

- Dwa tygodnie temu zmarł król Verdonii.

- Och! Tak mi przykro. - Zawahała się. - Nie chcę być niegrzeczna, ale nie rozumiem, co ma wspólnego jego śmierć z tym wszystkim?

- W Verdonii panuje dość nietypowy sposób obejmowania władzy królewskiej. Wszyscy mieszkańcy w głosowaniu wybierają króla spośród panujących w każdym z księstw.

- Czyli spośród trzech?

- Już nie - sprostował. - Po abdykacji twojego brata zostało tylko dwóch. Książę Lander z Verdonu...

- To... najbardziej na południu, prawda? Centrum finansowe?

- Właśnie tak. Drugim pretendentem do tronu jest von Folke. Gdybyś skończyła dwadzieścia pięć lat przed elekcją, także ty mogłabyś kandydować do tronu.

- Chwileczkę! Chcesz powiedzieć, że gdyby moje dwudzieste piąte urodziny wypadły trochę wcześniej, byłabym pretendentką do tronu? Ja?! - Jeżeli udawała zaskoczenie, robiła to doskonale. - Nie. Nie, dziękuję. Nie jestem zainteresowana władaniem Verdonią.

Posłał jej nieprzyjemne spojrzenie.

- To ciekawe - zauważył. - Tak kategorycznie się zarzekasz, że nie interesuje cię władza, a przecież małżeństwo z von Folkem oznacza dokładnie to.

- Jak to? - spytała po długiej chwili. Stuknęła nożem w mapę, w sam środek Celestii.

- Wybory powszechne, zapomniałaś? Ściągnęła brwi.

- Gdybym rzeczywiście była księżną Celestii i poślubiła księcia Brandta... - Na chwilę zabrakło jej tchu. - Wtedy on wygrałby wybory, prawda?

- Tak. Mówiąc szczerze, to jest doskonały plan. Mieszkańcy Avernos, poddani von Folkego, będą głosować na niego. A gdyby księżna

Celestii, czyli ty, wyszła za księcia Brandta, honor i lojalność kazałyby także mieszkańcom Celestii na niego głosować. Verdon głosowałoby na Landera, ale nic by to nie dało. Von Folke wygrałby dwa do jednego.

-I temu właśnie chcesz przeszkodzić. - To nie było pytanie. -

Dlaczego?

Przyglądał się jej ponuro.

- Zrobię co tylko w mojej mocy, żeby wybory odbyły się uczciwie. Moim zadaniem jest chronienie całej Verdonii, nie tylko jednej z prowincji.

- Czy to nie mieszkańcy tego kraju powinni decydować, kto będzie ich królem?

- To von Folke naruszył równowagę. Zepsuł naturalny porządek rzeczy. Przy twojej pomocy. Ja się tylko staram wszystko naprawić.

Strach ściągnął jej rysi.

- Usuwając mnie? - spytała. Uśmiechnął się smutno.

- W pewnym sensie. Wybory odbędą się za niecałe cztery miesiące. Później możesz wziąć ślub, z kimkolwiek zechcesz.

Przez kilka sekund trwała w milczeniu, rozważając jego słowa.

Kiedy w końcu dotarło do niej ich znaczenie, głośno wciągnęła powietrze i gwałtownie pokręciła głową.

- Nie! Nie będziesz mnie tutaj trzymał tak długo.

- A jak zamierzasz mnie powstrzymać? - A tak!

Zaskoczyła go. Nie zdarzyło mu się to od czasów rekruckiego szkolenia. Chwyliła ze stołu nóż i przystawiła mu ostrze do gardła.

- Moja mama nie ma czterech miesięcy. Natychmiast odwieź mnie do księcia Brandta.

Nawet mając nóż przy krtani, nie potrafił przestać jej podziwiać. Była piękna. Pełna życia. Wściekła. Irytująca. Pochylił się do przodu, aż czubek noża wcisnął mu się w skórę na szyi.

- Posłuchaj, księżniczko. Żadne twoje słowa ani czyny mnie nie powstrzymają. Nie pozwolę ci wrócić do Brandta. Jest tylko jedno miejsce, dokąd zamierzam cię zabrać.

Patrzyła na kroplę jego krwi spływającą po ostrzu. Zadrzała.

- Dokąd? - spytała.

- Do mojego łóżka, rzecz jasna. - Wprawnym ruchem odtrącił jej rękę. Nóż z trzaskiem upadł na podłogę. Nim zdążyła zareagować, chwycił ją w ramiona i uniósł do góry.

- Przez najbliższe cztery miesiące to będzie twój dom - powiedział.

ROZDZIAŁ TRZECI

Merricka nie zaskoczyło to, że Alyssa zaczęła się bronić. Ale zaskoczyła go jej furia i gwałtowność. Dopiero po dłuższej chwili zdołał ją obezwładnić.

- Przestań, Alyso. Tylko zrobisz sobie krzywdę, podejmując walkę, której nie możesz wygrać.

- Nic mnie to nie obchodzi. Będę walczyć do końca. - Okładała go pięściami. - Nie mogę ci na to pozwolić.

- Obawiam się, że nie możesz mnie powstrzymać.

Poniósł ją do sypialni na piętrze. Z niezwykłą lekkością, chociaż szarpała się bez przerwy. Na szczycie schodów postawił ją i otworzył drzwi. Spróbowała uciec, lecz chwycił ją w pasie. Do diabła! - pomyślał.

- Nie chcę cię skrzywdzić, księżniczko. Ale albo będziesz robić, co ci każę, albo spędzisz następne cztery miesiące przywiązana do łóżka.

- Przecież to niemożliwe, żebyś naprawdę wierzył, że nie będę się bronić, że pozwolę ci... - Urwała, przestraszona słowami, które miała wypowiedzieć.

- Będziesz spała w moim łóżku przez cały czas. - Wziął ją pod brodę.
- Jeszcze raz podkreślę: spała.

Wbiła w niego oczy wielkie jak spodki.

- Nie... nie...

- Nie, nie - powtórzył miękko. - Po prostu, spać. Jutro czeka nas długi dzień. Chciałbym zamknąć oczy na kilka godzin i muszę mieć

pewność, że w tym czasie nie zrobisz czegoś głupiego. Na przykład nie uciekniesz.

- Dlaczego uważasz, że ja... - Głos jej się załamał. Wykonała tylko niecierpliwy gest ręką. - Wiesz.

- Ponieważ trzymałaś już nóż przy moim gardle i bardzo mnie to zdenerwowało. - Nie wstydzisz się przyznać. - Wcale nie kłamałem, Alysso. Przez następne cztery miesiące będziesz spała w moim łóżku. A co się tam wydarzy, będzie zależeć tylko od ciebie.

Odskoczyła do tyłu, jakby ją uderzył.

- Nic się nie wydarzy! - zawołała.

Nie zamierzał się spierać. Czas pokaże, czy miała rację. Obrócił ją ku otwartym drzwiom i lekko popchnął. Gdy się zorientowała, że znalazła się w łazience, była tak zdumiona, że w innych okolicznościach wybuchnąłby śmiechem.

- Umyj się - powiedział. - Znajdziesz tam wszystko, czego potrzebujesz. Na drzwiach wisi szlafrok. Włóż go, zanim wyjdiesz.

Zjeżyła się.

- A jeśli nie włożę?

- Możesz być naga - udał, że nie zrozumiał. - Nie mam nic przeciwko temu.

- Pytałam, co będzie, jeżeli w ogóle nie wyjdę. - Znowu wrócił jej bojowy zapach. - Będę... Będę spała w wannie.

- Możesz spróbować, ale w drzwiach nie ma zamka. - Spojrzał na zegarek. - Masz pół godziny. Wykorzystaj je mądrze. Kiedy twój czas minie, wejdę tam.

- Nie możesz! - zaprotestowała odruchowo. Szybko się jednak poprawiła. - Oczywiście, że możesz. Ale przecież nie pozwoliłbyś sobie na to, żeby wtargnąć do łazienki, kiedy będę pod prysznicem, prawda?

Patrzył na nią bez słowa. Mężczyźni rzadko mu się sprzeciwiali. Kobiety nigdy. Ale wiedzieli, kim był. Opór Alyssy zrobił na nim wrażenie.

Kiedy jego milczenie przeciągało się znacząco, jej gniew przerodził się we wściekłość.

- Prawdziwy z ciebie łajdak, Merricku, wiesz o tym?

- Tak. Prawdę mówiąc, wiem.

I tak określiła go bardzo łagodnie. Jako dowódca Królewskich Sił Specjalnych stale musiał podejmować trudne decyzje, które miały zgubny wpływ na losy innych ludzi. I musiał żyć z tym ciężarem. Wiedział też doskonale, że akcja, którą podjął i która miała trwać jeszcze kilka miesięcy, będzie bolesna.

Alyssa obróciła się na pięcie i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Punkt dla księżniczki.

Dokładnie trzydzieści minut później wyszła z łazienki. Odepchnął się od ściany, pod którą na nią czekał. Wbrew wcześniejszym pogrożkom, miała na sobie szlafrok. Wilgotne włosy spływały jej na ramiona. Bez makijażu wyglądała jeszcze młodziej. I jeszcze ponętniej. Zapowiadało to bezsenność.

Z udawanym spokojem minęła go, poszła do sypialni i podeszła do stojącego w kącie fotela. Usiadła z podwiniętymi nogami.

Wszedł za nią i zamknął drzwi na klucz.

- Kładź się do łóżka, Alyssu.

- Nie, dziękuję. Tu mi dobrze.

- Nie mogę na to pozwolić. Muszę się wyspać, a nie dam rady, jeśli wciąż będę cię musiał pilnować.

Skuliła się jeszcze bardziej.

- Przy mnie i tak się nie wyśpisz. Ja... Sypiam bardzo nerwowo. Całą noc się rzucam i przewracam.

Omiał nie parsknął śmiechem, słysząc tak oczywiste kłamstwo. Ale co do jednego mogła mieć rację. Faktycznie mogło się zdarzyć, że się tej nocy nie wyśpi.

- Jakoś sobie poradzę - powiedział. - Wskakuj. - Wskazał wielkie, podwójne łóżce.

Wykonała kilka głębokich wdechów. W końcu się poddała. Opuściła bezpieczny fotel, podeszła do łóżka jak do śmiertelnej pułapki i znieruchomiła. Zaczął już niemal tracić cierpliwość, gdy uniosła kołdrę i wsunęła się pod nią. Zwinęła się w kłębek na samym skraju materaca.

Do diabła! Najbliższe godziny będą najtrudniejsze w jego życiu. Podeszedł z drugiej strony łóżka, zdjął koszulkę i rzucił ją na opuszczony przez Alysę fotel. Potem zdjął buty i spodnie. Widział, jak zeszywniała, słysząc zgrzyt zamka. Usłyszał jej nerwowy oddech.

Kiedy został w samych bokserkach, położył się do łóżka. Znieruchomiła, jak najdalej od niego. Liczyła, że zostawi ją w spokoju. Westchnął głęboko i przyciągnął ją do siebie. Przytulił, chociaż była sztywna jak kłoda.

Niespodziewanie zmieniła się nie do poznania. Zaczęła walczyć jak furia. Łokciami, paznokciami, piętami. Tylko jej plecy, które ze wszystkich sił przyciskał do siebie, nie stały się śmiercionośną bronią.

- Chcesz mnie dotknąć? - wyszeptała chrapliwie. - Nie wystarczy ci, że jestem z tobą w jednym łóżku?

Dobry Boże, jeśli się natychmiast nie uspokoi, będzie źle, pomyślał.

- To konieczne - tłumaczył, siląc się na spokój. - W ten sposób będę wiedział, jeśli spróbujesz ucieczki. I zatrzymam cię.

- Nie będę próbowała uciekać - wydusiła drżącym głosem.

- Będziesz. Uważasz, że twoja mama cię potrzebuje. Dlatego wciąż będziesz próbowała. A ja będę cię powstrzymywał.

Jęknęła cicho.

- Przecież nic nie mogę zrobić - sapnęła. - Ostrzegałam cię. Nie przywykłam sypiać w taki sposób.

- Tej nocy i tak było ci pisane znaleźć się w łóżku jakiegoś mężczyzny. Albo z von Folkem, albo ze mną.

Tylko że von Folke nie ograniczyłby się jedynie do rozmowy i snu. Chciałby jak najszybciej skonsumować związek, żeby zgodnie z obowiązującym w Verdonii prawem stał się on w pełni legalny. Na samą myśl Merrick poczuł rosnącą wściekłość.

- Czyżbyś zapomniała, że to miała być twoja noc poślubna?

Zadał to pytanie, chociaż właściwie wcale tego nie chciał.

Ku jego zdumieniu, Alyssa zadrzała.

- Zapomniałam - wyznała. Zniżyła głos do ledwie słyszalnego szeptu. - Noc z nim... To by było chyba jeszcze gorsze...

- Jeśli tak uważasz, powinnaś mu była odmówić i nie wychodzić za niego. Wątpię, by skrzywdził twoją mamę.

Znowu uderzyła go łokciem w bok.

- Nie widziałeś jego twarzy. A ja tak. Książę Brandt zrobiłby wszystko, żeby doprowadzić mnie do ołtarza.

- Jeśliby to miało oznaczać zdobycie tronu, to masz rację. Gotów byłby powiedzieć wszystko, żeby wymusić twoją zgodę. Ale nawet człowiek taki jak von Folke nie przekracza pewnych granic. Myślę, że nie posunąłby się do morderstwa.

- Ludzie w desperacji przekraczają wszystkie granice -powiedziała z przekonaniem. - Jeden z moich ojczymów był audytorem księgowym. Po skończeniu liceum pracowałam dla niego podczas wakacji. Wtedy zaczęłam się interesować finansami. Zawsze potrafiłam się zorientować, kiedy ktoś próbował preparować księgi. Bezbłędnie wyczuwałam desperację. Gdybym kontrolowała księcia Brandta, bardzo uważnie sprawdziłabym jego rachunki.

Interesujące.

- Chcesz powiedzieć, że on defrauduje pieniądze?

- Nie. Mówię, że jest zdesperowany. Nie mam pojęcia dlaczego. Ale czuję to, chociaż on bardzo się stara to ukryć. Nie wiem, czy to ma jakiś związek z finansami, czy nie.

Umilkli. Merrick rozważał jej słowa. Coś w tym było. Szkoda, że nie wiedział co. Był przekonany, że von Folke gotów był na wszystko, żeby zdobyć koronę. Chciwość. Władza. Znaczenie. Pozycja. To wszystko mogło stanowić silną motywację. Ale co mogło kazać człowiekowi tak bardzo pragnąć być królem?

Starannie sprawdził von Folkego. Ale może powinien był zrobić to jeszcze dokładniej?

Alyssa uspokoiła się. Przez drzwi balkonowe wpadało do pokoju światło księżyca. Miał tuż przy policzku jej głowę. Czuł na brodzie jej miękkie włosy. Zapach ziołowego szamponu wkręcał mu się w nozdrza. I gdzieś tam w tle delikatny zapach jej ciała.

- O czym rozmawialiście z tamtą kobietą? - spytała zniecierpliwiona. - Wtedy, po verdoniańsku?

Uniósł się na łokciu i obrócił jej głowę twarzą do siebie. Światło księżyca srebrzyło jej włosy i nadawało blask oczom. Cicho wypowiedział kilka słów w języku verdoniańskim. Spojrzała mu w oczy z zakłopotaniem.

- Nie znasz naszego języka, prawda? - Z niedowierzaniem pokręcił głową. - Przyjechałaś tu, żeby zostać królową i nawet nie potrafisz przemówić do swego ludu w jego ojczystym języku?

- A dlaczego miałabym potrafić? - oburzyła się. - Dopiero w zeszłym tygodniu się dowiedziałam, że coś mnie łączy z Verdonia.

- Sądziłem, że jeśli ktoś chce władać krajem, powinien się móc porozumieć z poddanymi. Co byś zrobiła, gdyby angielski nie był tutaj drugim językiem?

- Gdybym wiedziała, co mnie tutaj spotka, nauczyłabym się verdoniańskiego. - Jej głos wibrował gniewem. - Co do mnie powiedziałeś? Skąd wiesz, że nie udawałam, że nie rozumiem? Uważasz, że zawsze udaję i oszukuję.

- Ponieważ to, co powiedziałem, było niewybaczalnie grubiańskie. - Nie potrafił się powstrzymać i pogłaskał ją po policzku. - Gdybyś zrozumiała, zareagowałabyś. - Najpewniej by go spoliczkowała.

- Och! - Odwróciła się od niego. Ale już nie protestowała, gdy znowu ułożył ją plecami do siebie i przycisnął.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Co ona powiedziała, że zacząłeś się śmiać?

- Nazwała mnie niedźwiedziątkiem. Ale może to też oznaczać wypchane zwierzę.

- Miś pluszowy?

- Tak. Pluszowy miś.

Przez kilka chwil leżeli w milczeniu.

- Ta kobieta... Ta, która cię nazwała pluszowym misiem... Zajęła moje miejsce, prawda?

- Taki był plan.

- Kim ona jest?

- To moja siostra, Miri.

Obróciła głowę i zajrzała mu w twarz.

- Nie boisz się, że księżę Brandt może ją skrzywdzić, kiedy odkryje zamianę?

- Tak. - Bał się. I to jak.

- To czemu pozwoliłeś jej pójść?

Nie chciał się zgodzić, ale nalegała. Zagroziła, że wyjawia cały plan.

- Bo to było konieczne - uciał.

- Powiedziała, że są jakieś powody, dla których to robił - przypomniała Alyssa cicho. Znow się odwróciła do niego plecami. - Czy to ten sam powód, co w twoim przypadku? Uczciwe wybory?

Zawahał się. Początkowo sądził, że tak właśnie było. Ale z czasem znajdował w tonie jej wypowiedzi jakieś niepokojące nutki. Ignorował je,

bo tego wymagały okoliczności. Ale uczucia, jakimi darzył Miri, przeszkadzały mu w treningu, rozpraszały go.

Wbił w Alysę uważne spojrzenie. W przypadku von Folkego wykazała się umiejętnością oceniania charakterów. Czyżby w przypadku Miri dostrzegła coś, co uszło jego uwagi?

- Coś cię zaniepokoiło u Miri? - spytał. Wzruszyła ramionami.

Niechęcący odsłoniła kawałek ramienia.

- To, co powiedziała, zabrzmiało bardzo... osobiście.

Osobiście. Im dłużej nad tym myślał, tym bardziej nabierał przekonania, że Alyssa miała rację. Dopiero teraz to dostrzegał... Cichą rozpacz w zielonych oczach Miri. Determinację, która nie opuszczała jej ani na moment. I to, jak się wzdrygała, kiedy była mowa o von Folkem i Alyssie. Cholera, pomyślał, czemu wcześniej tego nie zauważyłem?

- Śpij - polecił. Potrzebował spokoju, żeby wszystko przemyśleć. - Jutro będzie ciężki dzień.

- Dlaczego? Westchnął.

- Zadajesz dużo pytań, księżniczko.

- To prawda. Mam jeszcze jedno. - Obróciła się twarzą ku niemu. - Jesteś pewien, że chcesz przechodzić przez to wszystko?

Zadawał sobie to pytanie tak często, że mógł odpowiedzieć bez namysłu.

- Przyszłość Verdonii od tego zależy. Oblizwała wargi.

- Może się zdarzyć, że zostaniesz schwytany. - Ostrożnie dobierała słowa. - Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda? Co cię wtedy czeka? Trafisz do więzienia?

- Być może. Albo zostanę skazany na banicję. To będzie zależało od tego, kto mnie pojmie.

- Ale gdybyś mnie uwolnił... O! Nowa sztuczka.

- Dość, Alysso. Więzienie czy wygnanie, będę się tym martwił, kiedy już do tego dojdzie.

- A księżę Brandt? Co on ci zrobi? Gotów jesteś ryzykować życie?

- Nie będzie zadowolony, że odebrałem mu największą szansę na objęcie tronu. Ale to bez znaczenia. Cokolwiek się zdarzy, przyjmę to bez oporów.

- Nie mówisz poważnie.

- Jestem bardzo poważny. - Zrobił zdziwioną minę. - Nie mów, że się o mnie martwisz.

- Oczywiście, że się nie martwię o ciebie. - Ale jej oczy zdradziły kłamstwo. Nie zdołał się powstrzymać i pogłaskał ją po policzku.

Wzdrygnęła się.

- Nie - szepnęła.

- Honor każe mi chronić Verdonię przed tobą - powiedział.

- Taka jestem groźna?

- Stanowisz zagrożenie dla kraju. - Uśmiechnął się krzywo. - Ale jeszcze większe dla mojego honoru.

I jakby na dowód tego pochylił się i pocałował ją. Zaprotestowała nieśmiało, lecz jego wargi stłumiły dalszy opór. Całował ją coraz śmieiej, coraz zachłanniej. Aż zaczęła omdlewać w jego ramionach.

Gdy w końcu oderwał się od jej ust, wyszeptała jego imię.

- Obiecałeś - wytknęła.

- Co obiecałem?

- Że nie będziesz.

- Nie będę co?

Głowa opadła jej na poduszkę.

- Nie pamiętam - mruknęła.

- Ja też.

Odszukał jej usta i to był koniec rozmowy. Wargi się rozchyliły, wpili się w siebie. Ich dłonie rozpoczęły nerwową wędrówkę. Pokój wypełniły słodkie pomruki. Urywane słowa.

Krew Merricka zaczęła krążyć żywiej. Rozsądne myśli uleciały mu z głowy. Pragnął jej. Pragnął kobiety, którą trzymał w ramionach. Zirykowało go jej ubranie. Przeszkadzało mu.

Odszukał pasek przy szlafroku Alyssy. Po krótkiej walce węzeł się poddał. Rozchylił miękkie poły i oblał go żar.

- Obiecuję, że będzie ci dobrze.

W chwili, w której wypowiedział te słowa, wiedział, że wszystko przepadło. Jej oczy pojaśniały z gniewu. I przerażenia. Uświadomiła sobie, że nie był księciem z bajki.

Oddychała gwałtownie, z trudem.

- Przestań - rzuciła.

Ileż trudu go kosztowało opanowanie trawiącej go żądz.

- Spokojnie, księżniczko. Już przestałem.

Na nic się zdały jego zapewnienia. Panika niemal ją sparaliżowała.

- Twierdzisz, że honor każe ci strzec wszystkich mieszkańców Verdonii. Czy ta ochrona nie dotyczy także mnie? A może twój kodeks honorowy pozwala gwałcić bezbronne kobiety?

Nie mogła znaleźć bardziej dosadnej obelgi.

- To nie byłby gwałt - wycedził przez zaciśnięte zęby. - Dobrze o tym wiesz.

- Może i nie. Ale honorowo też by to nie było. Przecież jestem więźniem. Nie możesz wiedzieć, czy nie uległabym ze strachu.

Zaklął w myślach. Nigdy dotąd nikt go nie oskarżył o tak niecne pobudki. Ale przecież miała rację. Wiedział to. Po pierwsze, gdyby okoliczności nie były aż tak wyjątkowe, nigdy by jej nie uprowadził. Powiedział jej kiedyś, że są granice, których nie wolno przekraczać. Czyżby właśnie przekroczył jedną? Honor był dla niego wszystkim. I obowiązkiem. Miałby w jednej chwili przekreślić cały dorobek życia?

Zasunął szczelnie poły jej szlafroka, zawiązał pasek i okrył ją starannie.

- Odwróć się - rozkazał. - Koniec gadania.

I dotykania. Potrzebował przynajmniej godziny snu, żeby naładować baterie. Ponieważ doskonale zdawał sobie sprawę, co mógł przynieść poranek.

Jego przypuszczenia sprawdziły się aż za bardzo. Kiedy się zbudził o świcie, poczuł przystawiony do głowy pistolet.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Alyssa poruszyła się gwałtownie. Nagłe łomotanie serca wyrwało ją ze słodkiego snu. Nie wiedziała, co ją tak przerażyło. Ale strach był taki, że serce omal jej nie pękło, a w ustach poczuła metaliczny smak. Spróbowała coś powiedzieć, lecz opasujące ją ramię Merricka zacisnęło się mocniej.

- Nie ruszaj się, kochanie - usłyszała cichy szept tuż przy uchu. - Obronię cię. Rób tylko dokładnie to, co powiem. I... zaufaj mi.

Zaufać mu? Oczywiście, że ci ufam, przemknęło jej przez myśl, zanim w ogóle zdążyła się zastanowić. W następnej sekundzie przypomniała sobie, kim był i co zrobił. I to, że naraził na niebezpieczeństwo jej mamę. A mama zawsze powtarzała: nigdy nie ufaj mężczyznom. Zawsze cię zdradzą. Nie, nie ufała mu.

- Ściśnij moją dłoń, kiedy będziesz gotowa.

Nie miała wyboru, więc usłuchała. Poczuła, że zaczął ją unosić jak w najczulszej pieśczoście. I nagle eksplodował. W mgnieniu oka znalazła się pod nim, wciśnięta w poduszki. I jakimś sposobem urósł w ciągu nocy. Jego potężne, muskularne plecy były szerokie jak ściana. Odważyła się zerknąć ponad jego ramieniem. I zastygła bez ruchu.

Było ich sześciu. Mieli na sobie czarne mundury komandosów. Każdy trzymał w rękach karabin wycelowany w głowę Merricka. Niedobrze. Bardzo niedobrze. Czują, że potrzeba działania, która kierowała Merrickiem, przyniesie dramatyczne zakończenie. Musiała zrobić coś, by temu zaradzić. Natychmiast. Nie zastanawiając się długo, przeturlała się na brzeg materaca.

Jeden z żołnierzy chwycił ją za ramiona, ścisnął boleśnie i wyciągnął z łóżka.

- Aj! Puszczaj. Przecież się poddaję, idioto! Widzisz? - Wysoko uniosła rękę. - To oznacza, że się poddaję.

Merrick leżał bez ruchu. Wbił tylko w szarpiącego ją mężczyznę lodowate spojrzenie.

- Zabierz od niej rękę.

Powiedział to cichym głosem. Niemal szeptem. Lecz było w jego głosie coś, co sprawiło, że wszyscy wkoło zamarli, a trzymający ją mężczyzna puścił ją natychmiast. Zdumiewające, lecz w tym momencie przywódca grupy warknął jakiś rozkaz i znowu znalazła się w twardym uścisku. A co gorsza, dowódca uderzył Merricka pięścią w twarz.

Zaprotestowała głośnym krzykiem, ale nic to nie dało. Napastnicy wyciągnęli Merricka z łóżka. Trzeba było do tego czterech mężczyzn, co Alyssa zauważyła z prawdziwą satysfakcją. Gdyby nie karabiny, zapewne i sześciu by nie wystarczyło, pomyślała.

Merrick stał bez ruchu. Przyglądał się napastnikom z wyniosłością. W samych tylko bokserkach, robił imponujące wrażenie. Ale na jego twarzy malowała się prawdziwa furia. Powiedział coś po verdoniańsku do dowódcy oddziału, w którym rozpoznała Tolkena, zaufanego człowieka von Folkego. I serce jej się ścisnęło. To nie byli napastnicy, ale misja ratunkowa.

- Tak, stary przyjacielu, wiem, co ryzykuję. - Tolken powtórzył po angielsku swoją odpowiedź. - I tylko dlatego jeszcze żyjesz.

- Źle czynisz, Tolk - zawołał Merrick z głębokim przekonaniem. - Wiesz o tym. Ludzie powinni mieć prawo sami zdecydować, kogo chcą

mieć na tronie. Nie powinni być manipulowani. Ile razy dyskutowaliśmy na ten temat na uniwersytecie?

- Cisza! - krzyknął jeden z trzymających Merricka mężczyzn.

Rozkazowi towarzyszył potężny cios pięścią w brzuch. Merrick nawet nie drgnął. Ależ on ma mięśnie, pomyślała Alyssa. Tolken warknął coś i mężczyzna, który uderzył Merricka, cofnął się z ponurą miną.

- Musisz mu wybaczyć - powiedział Tolken. - Jest wściekły. Zabrałeś coś, co nie należy do ciebie i należy ci się kara.

Tego było już za wiele. Alyssa odepchnęła trzymającego ją mężczyznę. A może chroniącego ją? Nieważne.

- On jest nieuzbrojony - zawołała. - Nie masz prawa go bić.

Jej walka była bezcelowa, ale nie dbała o to. A najbardziej zdumiewające było to, że nigdy by nie przypuszczała, że stanie w obronie swego porywacza. Walczyła zaciekle. Kopała, drapała i uderzała łokciami. W końcu trzymający ją człowiek stracił cierpliwość. Ścisnął w jednej ręce jej nadgarstki, a drugą uniósł do ciosu.

- Przestań, dumniu! - krzyknął wściekły Tolken. - Postradałeś rozum? Przecież to księżniczka Alyssa, księżna Celestii.

Merrick nie czekał, żeby się przekonać, czy rozkaz zostanie wykonany. Ręce miał skrepowane, ale nogi swobodne. I potrafił zrobić z nich użytek. Ale po chwili, po kilku ciosach w żołądek, klęknął i wbił wzrok w Tolkena.

- Jeśli któryś z twoich ludzi jej dotknie albo choćby tylko spróbuje, będzie martwy - wyszeptał chrapliwie. A mimo to wszyscy obecni zeszywnieli na moment. Nawet Tolken.

- A jeśli ja go nie zabiję - dodał - zrobi to von Folke.

Widać było wahanie na twarzy Tolkena. Po chwili zaklął cicho, rzucił kolejne rozkazy po verdoniańsku i trzymający Alysę mężczyzna wyszedł z pokoju. Najwyraźniej uznali, że nie stanowiła dla nich zagrożenia.

Merrick rzucił jej krótkie spojrzenie i zwrócił się do Tolkena:

- Ona nie pójdzie z tobą, dopóki się nie upewni, że jej matce nic nie grozi.

- Ma rację - potwierdziła. - Nie ruszę się stąd, dopóki z nią nie porozmawiam.

- Pójdiesz, kiedy ci każę - rzucił Tolken. - A z matką porozmawiasz, kiedy księżę Brandt pozwoli.

- Wasza Wysokość - powiedziała lodowatym głosem.

- Słucham? - Tolken zmarszczył brwi.

-Masz się do mnie zwracać Wasza Wysokość albo madam. I nie waż się nigdy więcej mi rozkazywać. Jeśli ci zależy na posadzie.

Tolken zdębiał, Poczzerwieniał. Ręce opadły mu wzdłuż tułowia, a dłonie zwinęły się w pięści. A ona posłała mu wyniosłe spojrzenie i poleciła:

- Połącz mnie z moją mamą. Natychmiast.

- Nie mogę tego zrobić, Wasza Wysokość - wysapał Tolken przez zaciśnięte zęby.

Skrzyżowała ramiona i usiadła na brzegu łóżka.

- W takim razie nie ruszę się stąd. - Jeden z mężczyzn zrobił krok w jej stronę, ale jedno jej spojrzenie zatrzymało go. - Nawet o tym nie myśl. Być może teraz nie mogę was powstrzymać, ale jako żona księcia Brandta

zamierzam mieć dobrą pamięć. Zapłacicie mi za to. Osobiście dopilnuję, żeby bardzo bolało.

Ku jej zaskoczeniu, mężczyźni jej uwierzyli. Popatrywali na siebie w rozterce. Za plecami Tolkena Merrick zacisnął usta, zachęcając ją do dalszej walki. Do diabła z nim! Czyżby nie widział, w jak rozpaczliwym znaleźli się położeniu? Napastnicy mieli broń. Książę Brandt trzymał jej mamę jako zakładniczkę. A ona sama była porwana. .. już po raz drugi. To wcale nie było zabawne.

Po długiej chwili Tolken uległ. Wyjął z kieszeni telefon komórkowy i wystukał numer. Alyssa była przekonana, że rozmawiał z samym księciem Brandtem. Po kilku minutach rozmowy w języku verdoniańskim podał jej telefon.

- Ally? Kochanie, czy to ty?

Usłyszała głos mamy i łzy nabiegły jej do oczu.

- Cześć, mamó. Dobrze się czujesz?

- Co się dzieje? - Słysząc było strach w jej głosie. -Co się stało?

Dlaczego wszyscy są tacy wściekli? Gdzie jesteś?

- Wszystko w porządku, mamó. - Starła się przemawiać uspokajająco. Miała za sobą wiele lat doświadczeń i umiała się nią opiekować. - Niedługo przyjadę. Obiecuję. - W tym momencie Tolken odebrał jej telefon. - Jeszcze nie skończyłam.

- Nie igraj z ogniem, Wasza Wysokość. Spełniłmy twoje życzenie. Teraz pojedziesz z nami bez dalszych protestów. - Po krótkiej rozmowie schował telefon do kieszeni. - Naszym najważniejszym zadaniem jest dowiezenie księżniczki bezpiecznie do Jego Wysokości - zwrócił się do swoich ludzi.

Alyssa zacisnęła wargi. Rozmawiali o niej, jakby była pakunkiem. Czyjąś własnością. Działo się tak, odkąd postawiła stopę w tym okropnym kraju.

- A co z dowódcą? - Jeden z żołnierzy wskazał głową w stronę Merricka.

Alyssa wyprostowała się. Dowódcą? Dowódcą czego? Spojrzała na Merricka z niepokojem. Ale on nie wyglądał na przejętego. Przypomniała sobie, że kiedy ujrzała go po raz pierwszy, skojarzył jej się z lwem. Ale chyba się pomyliła. Bardziej przypominał lamparta. Przyczajonego, z drgającymi mięśniami, gotowego do skoku.

Oczy lśniły mu groźnie. Napastnicy, czy o tym wiedzieli czy nie, byli już straceni. Merrick nigdy nie przegrywał. Na samą myśl zrobiło jej się przyjemnie. Chociaż jego zwycięstwo oznaczało jej klęskę. Przecież on na pewno nie pozwoli jej pojechać do mamy.

Ale nie potrafiła myśleć o nim jak o wrogu. Wciąż czuła obejmujące ją ramiona. „Zaufaj mi” powiedział. Jakże tego chciała. I gdyby nie mama, zapewne tak by właśnie uczyniła.

Tolken podszedł do Merricka.

- Znam cię, stary przyjacielu - zaczął. - Nie zaryzykuję i nie wezmę cię z nami do helikoptera. Zatrzymamy cię tutaj. - Wskazał trzech spośród swoich ludzi.

- Zostaniecie tutaj i będziecie go pilnować. Zabierzemy go później. Głową odpowiadacie, żeby nie uciekł. Gdyby się tak stało, Jego Wysokość byłby naprawdę niezadowolony.

- Możesz na to liczyć - mruknął Merrick. - Kiedy wrócisz, na pewno mnie tu nie będzie.

Jeden ze strażników uniósł rękę, lecz wystarczyło jedno groźne spojrzenie Alyssy, żeby się natychmiast cofnął. Zerwała się na równe nogi.

- Dosyć! - krzyknęła. - Nie życzę sobie, żeby bito kogokolwiek w mojej obecności. Nie wolno wam go tknąć, dopóki nie stanie przed księciem Brandtem. Czy to jasne?

- Nie interesowała się, czy jej słowa zrobiły na nich jakiegokolwiek wrażenie. - Potrzebne mi ubranie - zwróciła się do Tolkena. - I buty.

- Oczywiście, Wasza Wysokość. - Tolken przestąpił z nogi na nogę. - Ja...

- Szafa i komoda - powiedział Merrick. - Znajdziesz tam wszystko, czego potrzebujesz.

Tolken gestem nakazał swoim ludziom, by zostali, i wyszedł. Przestraszona Alyssa zrobiła krok w stronę Merricka. Zatrzymała się w pół kroku. Patrzyła na niego zaniepokojona i zdumiona, kiedy ujrzała jego pogodny wzrok. Uśmiechnął się do niej samymi kącikami ust.

Nie rozumiała niczego. Zamierzali go zatrzymać w niewoli. Po przywiezieniu do księcia Brandta czekał go los niepewny i straszny, a ona nic nie mogła zrobić. Musiała ratować mamę.

Powinna nienawidzić Merricka za to, co zrobił. Ale nie mogła. Z jakiegoś dziwnego powodu pragnęła go chronić tak samo jak matkę. Jak to możliwe? Porwał ją. Rozebrał. Związał i zakneblował. Więził ją. Zmusił, by spała z nim w jednym łóżku. Trzymał w ramionach. Pocałował ją. Dotykał, jak żaden inny mężczyzna. Powinna się cieszyć z przybycia Tolkena i jego ludzi. Powinna mu wylewnie dziękować. A ona życzyła im prostej drogi do piekła.

W drzwiach pojawił się jeden z mężczyzn.

- Sir, helikopter przyleciał. Możemy ruszać w każdej chwili.

Tolken głową wskazał Merricka.

- Zabrać go - rzucił. - Sprawdźcie, czy jest tu piwnica, i zamknijcie go tam. Reszta niech czeka przy samochodzie.

Bez słowa wyprowadzili Merricka. Po chwili w pokoju został tylko Tolken. Otworzył szafę i wyjął z niej spodnie i bluzę. Rzucił je Alyssie.

- Zaczekam za drzwiami. Zaprowadzę cię do helikoptera, kiedy tylko będziesz gotowa. - Zawiesił głos. - To chyba należy do ciebie. Prezent ślubny od Jego Wysokości, nieprawdaż?

Na otwartej dłoni podał jej kolczyki z ametystów i diamentów, które poprzedniego dnia dostała od księcia Brandta. Czy to możliwe, że to było zaledwie wczoraj? A niech to! Przypomniała sobie, że zostawiła je w łazience. Przygana w głosie Tolkena sprawiła, że jej twarz pokryła się rumieńcem. Ale czego się spodziewał? Że włoży je, kładąc się do łóżka... z Merrickiem? Omal nie parsknęła śmiechem.

- Dziękuję - powiedziała wyniośle.

Włożyła kolczyki. Tolken kiwnął z aprobatą głową i wyszedł na korytarz. Kiedy tylko drzwi się za nim zamknęły, podbiegła do komódki i zaczęła ją gorączkowo przetrząsać. Znalazła tam bieliznę. Ciekawe, kto ją wybierał? Merrick czy Miri?

W każdym razie wszystko pasowało. Do tego ciemnoszara bluza i nieco ciemniejsze szare spodnie. Przypuszczała, że ubranie wybrano tak, żeby było proste, wygodne i żeby się nie rzucało w oczy. Na dole szafy znalazła parę sandałów.

Spojrzała w lustro i jęknęła. Nic dziwnego, że Tolken okazywał jej tak mało szacunku. Wyglądała, jakby miała za sobą szaloną noc. W

najwyższej szufladzie znalazła grzebień i starannie uczesała włosy. Długo to trwało, ale tak to jest, gdy się idzie do łóżka z mokrymi włosami.

Gdy wreszcie była gotowa, wyszła na korytarz. Ale Tolkena tam nie było.

- Gdzie jest twój szef? - spytała żołnierza.

- Mam panią odprowadzić do helikoptera.

- A co z Merrickiem?

Nie odpowiedział, tylko głową wskazał w kierunku schodów.

Ruszyła za nim. W całym domu po drodze nie zobaczyła nikogo. Zapewne znaleźli piwnicę, pomyślała zgnębiona.

Przed domem czekało na nią przy samochodzie kilku mężczyzn. Po kilku chwilach jazdy znaleźli się w małej dolince otoczonej górami. Pośrodku stał wielki, czarny helikopter. Nieopodal sześciu mężczyzn siedziało na trawie. Następnych sześciu, z bronią gotową do strzału, pilnowało terenu. Nie miała czasu, by się rozejrzeć zbyt dokładnie. Natychmiast zaprowadzono ją do śmigłowca i wsadzono do środka. Zauważyła jednak, że Tolken zabrał ze sobą znacznie więcej ludzi, niż sądziła. Chciał być pewien, że przywiezie ją księciu Brandtowi.

Obejrzała się, żeby podziękować człowiekowi, który jej pomógł wsiąść, i otworzyła usta ze zdumienia.

- Merrick? Co? Jak? Uśmiechnął się wesoło.

- Moi ludzie byli przez cały czas wokół domu. Uwolnili mnie.

Po chwili dotarł do niej cały sens jego słów.

- Ale to oznacza... Wiedziałaś, że Tolken mnie odnajdzie?

- Spodziewałem się tego. Rozstawiłem swoich ludzi wokół posiadłości i czekałem.

- To wszystko było zaaranżowane? Wiedziałaś, że Tolken zaatakuje dom? Wiedziałaś, że się zbudzimy z karabinami przystawionymi do głów?

- Kiedy przytaknął skinieniem głowy, wściekła się. - Jak mogłeś się wystawić na takie ryzyko? Gdyby któryś z tych idiotów zareagował nerwowo i nacisnął spust, mogłeś zginąć! Jak mogłeś być aż tak głupi?

Popatrzył na nią z zaciekawieniem.

- Ty też - zauważył. - Ciebie także naraziłem na niebezpieczeństwo.

Niecierpliwie machnęła ręką.

- Mnie nic by nie zrobili. Gdyby mi się coś stało, mieliby do czynienia z księciem Brandtem. Ale ty... Merrick! Dla nich byłeś tylko balastem. Oni... - Głos jej się załamał. - Oni cię bili.

Wzruszył lekceważąco ramionami.

- Na nasze szczęście Tolken świetnie nad wszystkim panował. Liczyłem na to, bo uczył nas ten sam człowiek. Który nie uznawał niepotrzebnego przelewania krwi. - Wyciągnął rękę. - A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko temu, oddaj kolczyki.

- Słucham? - Niespodziewana zmiana tematu zaskoczyła ją.

- To dzięki nim Tolken cię odnalazł. - Zawahał się. - Chyba cię ucieszy, jeśli powiem, że dowiodły także twojej niewinności.

Zbyt wiele się wydarzyło w zbyt krótkim czasie. Pogubiła się kompletnie. Kiedy zrobił ruch w jej kierunku, uniosła dłonie.

- Stop. Zatrzymaj się na moment i wyjaśnij mi wszystko krótkimi, jasnymi zdaniami.

Wskazał jej fotel. Odgarnął jej włosy i zdjął kolczyki.

- To von Folke ci je dał?

- Jako prezent ślubny.

- Mają wmontowane nadajniki naprowadzające. - Odczekał moment, aż to do niej dotarło. - To potwierdza twoją historię, że zostałeś zmuszona do poślubienia von Folkego. Gdybyś wychodziła za niego z własnej woli, nie musiałby tego robić. Najwyraźniej miał powody obawiać się twojej ucieczki.

- Dzięki temu Tolken nas odnalazł? - Aż zaniemówiła z oburzenia. - Śledził mnie?!

-Tak.

- A ty wiedziałeś, że po mnie przyjdą? Znowu wzruszył ramionami.

- Podejrzewałem. Miałem nadzieję. - Wychylił się z helikoptera i podał kolczyki jednemu ze swoich ludzi. -W ten sposób mogłem obezwładnić Tolkena i umożliwić nam bezpieczną ucieczkę. Teraz my znikniemy, a Tolken wróci do von Folkego z pustymi rękami.

- Ale to chyba jego helikopter? Merrick uśmiechnął się szeroko.

- Ładnie z jego strony, że nam go użyczył, prawda?

- A jeśli też jest na podsłuchu? Jeśli też ma wmontowane jakieś urządzenie śledzące?

- Tak właśnie jest. Szkoda tylko, że urządzenie już nie działa. Inaczej wiedziałby, dokąd zmierzamy. - Skinął ręką pilotowi. - A teraz, księżniczko, zechciej zapiąć pas. Startujemy.

Wielkie śmigło zaczęło się obracać.

- Proszę, nie rób tego. - Musiała krzyczeć z powodu narastającego hałasu. - Proszę. Pozwól mi pojechać z Tolkenem.

- Przykro mi. Nie mogę. Obawiam się, że na jakiś czas jesteś skazana na moje towarzystwo.

Dalsza rozmowa nie była możliwa. Hałas stał się nie do zniesienia. Wielka maszyna uniosła się w powietrze i skierowała na południe. Przelecieli nad górami oddzielającymi Avernos od Celestii. Tyle Alyssa zapamiętała z lekcji nad mapą. Przed jej oczami roztoczył się zapierający dech w piersiach krajobraz. Nad zielonymi wzgórzami, pod ciemnymi, deszczowymi chmurami rozpięła się tęcza. Tutaj się urodziła. Stąd pochodziła.

Po kilku minutach śmigłowiec wylądował w pobliżu gruntowej drogi, na której czekał już samochód. Kiedy tylko wysiedli, helikopter odleciał na północ.

- Wszystko perfekcyjnie zaplanowałeś - skwitowała.

- To moja praca. Wszystko starannie planować. Alyssa stanęła przed człowiekiem, który uprowadził ją

po raz kolejny w ciągu dwóch dni. Jej oczy płonęły gniewem.

- Kim ty właściwie jesteś? - spytała.

- Nigdy nie zostaliśmy sobie przedstawieni, prawda? Skrzyżowała ramiona.

- Nie - prychnęła. - To chyba dobra pora. Wykonał elegancki ukłon.

- Merrick Montgomery, do usług, księżniczko.

Nie dość, że dziki kot, to jeszcze elegancki, pomyślała. Wolałaby, żeby był wstrętny i zły. Żeby się nie poruszał z taką gracją, nie pachniał tak przyjemnie, nie mówił tak miło. I tak nie całował.

- To śmieszne - mruknęła. Pokiwał głową.

- Niemal dziwaczne - dodał.

- Wciąż mi nie powiedziałaś, co robisz. W jaki sposób wplątałeś się w to wszystko?

- Jestem dowódcą Królewskich Sił Specjalnych Verdonii. - Widząc jej niepewne spojrzenie, wyjaśnił: - Jest to oddział odpowiadający za bezpieczeństwo w całym kraju, nie tylko w którejś z prowincji.

- Jak armia, czy coś takiego?

- Coś takiego. Specjalne siły zbrojne.

To tłumaczyło zachowanie ludzi Tolkena. Występowali przeciwko swemu przełożonemu. W co ja się wplątałam?

- pomyślała. I jak mam wyciągnąć z tego siebie i mamę?

- Wyjaśnij mi zatem, dowódcu, jaki związek z twoją pracą może mieć porywanie niewinnych kobiet?

- Moim obowiązkiem jest strzec bezpieczeństwa kraju i jego obywateli. To dotyczy także ciebie i twojej matki. Jest to coś, z czym przyjdzie mi się zmierzyć już niedługo. - Odwrócił się i poszedł do samochodu. Nawet się nie obejrzał, żeby sprawdzić, czy szła za nim. - Zaczniemy od początku, Alysso. Jak i po co przyjechałaś do Verdonii?

Posługiwał się językiem angielskim z wielką biegłością. Ale kiedy wymawiał jej imię, słyszała delikatny akcent.

- Właśnie miałam rozpocząć pracę. Kiwnął głową.

- Jako asystentka dyrektora działu kadr w Bank International w Nowym Jorku.

- Zapamiętałaś, co powiedziałam, czy przeprowadziłaś dochodzenie?

-I to, i to.

Czyżby założyli jej specjalne akta? Zdenerwowała się. Jak wiele o niej wiedział? Ile szczegółów z jej życia poznał? Czy wiedział także o mamie i jej przeszłości? O Boże!

- Moja mama, Angela Barstow, przysłała mi list. Błagała w nim, żebym jej pomogła się wydostać z tarapatów, w które popadła. W kopercie był także bilet lotniczy.

- Alyssa wzruszyła ramionami. - Co miałam robić? Ruszyłam na ratunek.

- Te tarapaty, jak to nazwałaś... O co chodziło?

- Nie napisała. Niedawno rozstała się z moim aktualnym ojczymem. W takich chwilach zawsze uciekała. -Urwała. Nie chciała powiedzieć zbyt dużo. - Pomyślała, że długa podróż do Europy pozwoli jej dojść do siebie. Nie wiem, dlaczego wróciła do Verdonii. Może z jakiegoś powodu chciała się spotkać z moim przyrodnim bratem? Może chciała odwiedzić grób mojego ojca?

Merrick odwrócił się do niej.

- Czy jest możliwe, że celowo cię w to wciągnęła? Czy mogła współdziałać z von Folkem?

ROZDZIAŁ PIĄTY

Alyssa wpatrywała się w Merricka wielkimi oczami.

- Moja mama miałaby współdziałać z von Folkem? Niemożliwe - odparła bez wahania. - Nie potrafiłaby. Ona jest... bezradna. Dlatego zawsze muszę ruszać za nią najszybciej jak to możliwe.

Zatrzymali się obok białego samochodu. Merrick otworzył drzwi.

- Tym razem to nie będzie możliwe, księżniczko. Będziesz mi musiała zaufać, że von Folke nie skrzywdzi twojej mamy.

Zamiast wsiąść do auta, zatrzasnęła drzwi.

- Mam ci zaufać? Jak możesz w ogóle mówić coś takiego? Co takiego zrobiłeś, żeby zdobyć moje zaufanie?

- Nic. - Merrick położył jej ręce na ramionach. - A ponieważ znasz mnie zbyt krótko, żeby mi zaufać, przemyśl to. Tolken i jego ludzie wiedzieli, że zabrałem cię wbrew twojej woli. Wiedzieli także, że będziesz chciała wrócić do von Folkego. Chciałaś, i to jak! To, że nie mogłaś tego zrobić, nie jest tajemnicą dla nikogo. Nie ma zatem powodu, by krzywdzić twoją mamę.

To brzmiało rozsądnie. Ale i tak nie chciała ryzykować.

- Nie możesz mieć pewności - oceniła.

- Mogę i mam. Teraz von Folke trochę bardziej będzie potrafił zrozumieć uczucia innych ludzi. Ktoś skradł mu pannę młodą sprzed ołtarza. A to na pewno będzie miało wpływ na głosy wyborców. Jeśli się o tym dowiedzą. Założę się, że zrobi wszystko, żeby utrzymać rzecz w

sekrecie. Zbyt wiele czynników jest poza jego kontrolą, żeby się zdecydował na oficjalne oświadczenie.

- Jakie to czynniki?

Wyliczając na palcach, Merrick mówił:

- Gdy się wyda, że cię zmuszał do ślubu siłą, jego wiarygodność bardzo na tym ucierpi. Lub gdy ogłosimy, że von Folke przetrzymuje twoją matkę, żeby zmusić cię do uległości, albo gdy się wyda, że zmuszał cię do małżeństwa, żeby zdobyć tron. Wszystkie te czynniki są poza jego kontrolą i stanowią dla niego potencjalne zagrożenie. Na pewno będzie siedział cicho. Wyśle tylko za nami pościg, żeby wszystko załatwić w tajemnicy.

- Martwi cię to?

- Mamy pewną przewagę. Tolken jest... - Zmarszczył się. - W twoim kraju macie lokalnych strażników prawa, prawda?

- Tak. Policję stanową.

- Tolken jest kimś takim. Jako prawa ręka von Folkego pilnuje porządku w Avernos. Macie także jakieś instytucje prawne ponad poziomem stanowym?

- Oczywiście. Agentów federalnych.

- Ja jestem kimś takim. Byłoby źle widziane, gdyby Tolken przybył do Celestii i próbował złamać prawo. Kiedy się tam zjawi, a zjawi się na pewno, zrobi to po cichutku, na paluszkach. Ja tymczasem będę się musiał skradać tylko wtedy, gdy mi to będzie na rękę.

- Dobrze, rozumiem. Dowódca jest ważniejszy w księstwie. - Jedno wciąż nie dawało jej spokoju. - Nadal nie rozumiem, jak to ma zagwarantować bezpieczeństwo mojej mamie.

- Von Folke ma szanse na sukces tylko wtedy, gdy wyjdiesz za niego z własnej woli. Gdybyś się po powrocie przekonała, że twoją mamę spotkała jakaś krzywda, na pewno odmówiłabyś współpracy. W jego interesie jest, żeby twojej mamie włos z głowy nie spadł.

- A gdy uzna, że jego plany spaliły na panewce? Nie sądzisz, że wtedy będzie się mścił na wszystkich, którzy cokolwiek wiedzą o tej sprawie?

- Również na tobie i na mnie? - Rozważał to przez chwilę. - Tym bardziej powinniśmy się trzymać od niego jak najdalej aż do elekcji.

- A on wyładowuje wściekłość na mojej mamie. Z trudem starał się zachować spokój.

- Znajdę sposób, żeby uwolnić twoją mamę. -Jak?

- Znowu będziesz musiała mi zaufać.

Chciałaby. Bardziej nawet, niż gotowa była się do tego przyznać. Ale się nie odważyła.

- Nie mogę - jęknęła.

- Dlaczego?

Zawahała się. Nie chciała się z nim dzielić tak bardzo osobistymi informacjami. Lecz dostrzegła w jego oczach błaganie o prawdę i uległa.

- Przez całe życie musiałam patrzeć, jak mama uciekała przed kłopotami... i złymi mężczyznami... prosto w ramiona innych. Za każdym razem ufała swojemu nowemu mężczyźnie życia bez zastrzeżeń. Za każdym razem pozwalała, żeby przejmowali kontrolę nad całym jej życiem. I każdy z nich nadużywał jej zaufania, pozostawiał ją w stanie jeszcze gorszym, niż była na początku.

- Do licha, księżniczko. - Był szczerze poruszony. - Ilu miałaś ojcymów?

- To nie ma znaczenia.

- Nie zgadzam się. Myślę, że to może być bardzo ważne. Pokręciła odmownie głową.

- Chodzi o to, że już bardzo dawno temu przyrzekłam sobie, że nigdy nie powtórzę jej błędów. Twardo stapałam po ziemi. Kontrolowałam swoje życie. Samodzielnie podejmowałam decyzje. Najważniejsze zaś postanowienie brzmiało, że nigdy nie pozwolę na to, żeby jakkolwiek mężczyzna mówił mi, co mam robić czy jak mam żyć.

- A teraz mężczyzna kieruje twoim życiem. - Głośno wypuścił powietrze. - Bolesna zmiana.

- Tak było. Aż do tej pory. - Odeszła kilka kroków od samochodu i zapatrzyła się na góry oddzielające ziemie księcia Brandta. - Dotychczas sama kierowałam swoim życiem. Nikomu nie pozwoliłam się kontrolować. Dość już mam roli ofiary. Tak czy inaczej, zamierzam znowu być panią swojego losu.

- To dobrze. Za cztery miesiące będziesz mogła do tego wrócić. Obróciła się gwałtownie.

- Nie za cztery miesiące. Teraz. Zamierzam znaleźć sposób przyjscia mojej mamie na ratunek. Możesz mi pomóc albo zejść mi z drogi. Nie mam zamiaru spędzić tego czasu w ukryciu i pozostawić mamę na łasce księcia Brandta. Możesz mnie pilnować bez przerwy. Wcześniej czy później znajdę sposobność do ucieczki i wykorzystam ją.

- Dziękuję za ostrzeżenie. Zrobię wszystko, żebyś takiej sposobności nie znalazła. - Znowu otworzył drzwi auta. - Wsiądź, proszę.

Naburmuszyła się.

- A jeśli odmówię?

- Lepiej nie.

- Ale jeśli to zrobię?

- Zamierzam postawić na swoim - oznajmił twardo.

- Bez względu na to, kto za to zapłaci? Nie odpowiedział. Nie musiał.

- Proszę. Wsiądź do samochodu. - Wsiadła po krótkim wahaniu i zapięła pas. - Jeśli to jeszcze do ciebie nie dotarło, gdy poślubisz von Folkego, będziesz miała na swój los jeszcze mniejszy wpływ, niż masz przy mnie. On już o to zadba. Nasz wariant może nie jest dużo lepszy, ale jednak jest.

Na to nie znalazła odpowiedzi. -I, księżniczko?

- Co? - szepnęła.

- Witaj w domu - powiedział ciepło.

Alyssa wyjrzała przez okno. A Merrick przyglądał jej się uważnie. Jej wargi drżały delikatnie. Widział ją już taką, ale teraz znał ją lepiej. Chociaż starała się to ukrywać, powrót do Celestii, do miejsca, skąd pochodziła, zrobił na niej wrażenie.

Zerknęła w jego stronę i szybko odwróciła wzrok.

- Dokąd jedziemy? - spytała.

- Jest tu niedaleko miejsce, gdzie spędzimy noc. Ale nie dłużej.

Tolken może się domyślić, gdzie jesteśmy. -Skrzywił się. - Wszystko zależy od tego, jak dobrą ma pamięć.

- Co to za miejsce?

- Farma moich dziadków. Teraz nikogo tam nie ma, bo pojechali do mojego brata w Mt. Roche. To jest stolica Verdonii.

- A więc masz siostrę Miri i brata. Jak mu na imię? Zawahał się. Nie, nie chciał ryzykować.

- To nie ma znaczenia - odpowiedział. I szybko zmienił temat. - Nie spodoba ci się to, co będzie dalej.

- Doprawdy? - Uniosła brwi. - A co do tej pory mi się podobało? Punkt dla księżniczki.

- Przez cały czas, kiedy będziemy razem, będziemy sypiać w jednym łóżku, jak ostatniej nocy.

- Nie. Nie zrobię tego. Nigdy więcej.

- Dlaczego? - Idiota. Doskonale znał odpowiedź. Spędzili razem tylko jedną noc, a on nie potrafił trzymać rąk przy sobie. Przez kilka godzin zaledwie. Jak zatem wyobrażał sobie najbliższe tygodnie... miesiące? - To przez tamten pocałunek?

Mimo woli spojrzała mu w oczy i natychmiast zobaczył odpowiedź. Zauważył drzenie rozchylonych warg i przyspieszony oddech. Pochylił się ku tym oszalamiającym ustom. Nigdy wcześniej nie zakosztował czegoś równie wspaniałego. I pragnął więcej. Pragnął jej smakować, poznać każdy zakamarek jej ciała. Pragnął jej.

Wnętrze samochodu zrobiło się nagle bardzo ciasne. Cały świat skurczył się do nich dwojga. Ujął w dłonie jej ręce, wplótł palce w jej włosy. Pochylił się i musnął ustami jej wargi. Rozchyliły się. Musnął ponownie. Zacisnęły się. Jęknęła. Cichym, chrapliwym dźwiękiem z głębi krtani. Jakby kot mruczał. Ona sama nawet nie zdawała sobie sprawy, że tak się stało.

Chwyliła go za koszulę i zacisnęła pięści. Wtuliła mu głowę w ramię. Uspokoili się. Wciągnęła głęboko w nozdrza delikatny zapach jego szamponu. A potem zarzuciła mu ręce na szyję. Gwałtownie i niecierpliwie.

Wpiła się w jego usta z rozpaczliwą pasją. Z nieprzytomnym zapamiętaniem. Z tęsknym oddaniem. Wybuch był tak gwałtowny, że z miejsca rozpałił krew w żyłach Merricka. Przycisnął ją do drzwi, naparł na jej usta i wcisnął w nie język.

Źle. Bardzo źle. Gdyby nie siedzieli w ciasnym aucie, gdyby nie rozdzielał ich dźwięk zmiany biegów... Nie wiadomo, co by się stało. Ale nawet to nie powstrzymałoby go, gdyby nie wyraz jej oczu. Dostrzegł w nich dramatyczną walkę żądz z rozumem.

Nieskończenie długo trwali na ostrzu noża. Mógł ją mieć. Mógł zrobić z jej ciałem, co tylko by zechciał. Ale czuł, że by mu to nie wystarczyło. Pragnął bowiem czegoś więcej niż tylko jej ciała. Uświadomił to sobie z prawdziwym przerażeniem. Porwanie przerodziło się w coś znacznie głębszego. Bardziej osobistego.

Zmusił się w końcu i odsunął o cały centymetr. Odsunęła się także, gwałtownie łapiąc powietrze. Wbiła weń olbrzymie ze zdziwienia oczy.

- Czemu to się dzieje? - spytała.

- Bo nie można mi się oprzeć. Wyszwoodziła się z jego objęć.

- Ilekroć mnie dotykasz, jestem porozpinana. - Zaczęła zapinać bluzkę. - Spójrz na mnie. Jak to zrobiłeś?

Uśmiechnął się.

- Nie mam pojęcia, jak to się stało - ironizował. - Wydawało mi się, że przez cały czas trzymałem cię za głowę.

- Musisz mnie przestać uwodzić. - Drżące palce z trudem dawały sobie radę z guzikami. - To nie jest w porządku. To każe oczekiwać podobnej reakcji.

Zaintrygowała go.

- Chcesz powiedzieć, że jest to do zaakceptowania tylko wtedy, kiedy ty uwiedziesz mnie? - Uśmiech uniósł mu kąciki warg. - Uważasz, że jeśli mnie uwiedziesz, zdołasz znaleźć sposobność do ucieczki?

- Jeśli może mi to pomóc, to tak.

- Może ci się uda. - Rozpostarł ramiona. - Spróbuj, jeśli chcesz.

- Ha, ha, ha. Bardzo zabawne. Ale przemyślałam to starannie. To się nie uda.

- Dlaczego? - spytał szczerze zaciekawiony.

- To proste. Co się stanie, jeśli cię uwiodę?

- Oślepnę i ogłuchnę? Skrzywiła się.

- Gdybym uważała, że tak by się stało, spróbowałabym. Bo tylko wtedy gdybyś oślepl i ogłuchł, zdołałabym ci uciec. A i wtedy potrzebowałabym trzech dni przewagi.

Owinał sobie wokół palca kosmyk jej włosów i zaczął się nim bawić. Zmusił ją, żeby na niego spojrzała.

- Jeżeli kiedykolwiek naprawdę będę cię miał w łóżku, jeśli kiedykolwiek będę się z tobą kochał... a raczej kochał ciebie... to nigdy nie pozwolę ci odejść, księżniczko. Tak cię oplączę i omotam, że sama nie będziesz wiedzieć, gdzie się zaczynasz, a gdzie kończysz.

Cofnęła się gwałtownie. Za dużo, za szybko. Alarm! Odwieczny pościg samca za samicą. Czują, że pragnął ją posiąść. Natychmiast. Zanim ucieknie.

Zacisnęła dłoń na klamce, jakby to była tratwa ratunkowa.

- Chyba powinniśmy już jechać - zauważyła z udawanym spokojem.

Zwilżyła wargi. - Ale zanim ruszymy, przedstawię moje warunki.

- Jakie?

- Nie będziesz mnie więcej całował. Ani dotykał. Żadnej gry wstępnej. Muszę się czuć bezpiecznie.

Mina mu zrzedła. Naprawdę sprawił, że nie czuła się przy nim bezpieczna? Ale czemu się dziwił? Przecież uprowadził ją siłą. Związał. Zmusił ją... Nawet jeżeli jej odpowiedź była niespodziewanie namiętna. I to on był odpowiedzialny za jej olbrzymi niepokój o los matki.

- Jesteś bezpieczna - powiedział łagodnie. - Masz moje słowo.

- Dobrze. Zatem jedźmy.

- Kiedy tylko zapniesz pas.

Jęknęła rozpaczliwie.

- Nie wiedziałam, że go rozpięłam. Guziki. Pas. Jesteś magikiem, prawda?

- Gdybym był, nie zajmowałbym się guzikami i pasem. To każdy potrafi rozpiąć. - Uruchomił silnik. - Wtedy spróbowałbym otworzyć ciębie.

Nie odezwała się, wyraźnie zakłopotana. I gdy on się zajął prowadzeniem samochodu, rozważała jego słowa. Dał jej dużo czasu. Przez resztę dnia starał się jej nie narzucać. Spotkali się dopiero na kolacji w kuchni na farmie.

- Kto się opiekuje farmą, gdy twoi dziadkowie wyjechali? - spytała Alyssa pod koniec posiłku.

Czy szukała sposobów ucieczki? Jeśli tak, będzie bardzo rozczarowana.

- Opiekunowie mieszkają nieopodal. Zawiadomiłem ich, że przyjadę dzisiaj. - Uniósł kieliszek pełen najlepszego wina jego dziadka. - Nie będą przeszkadzać.

Spokojnie skinęła głową.

- Zastanawiałam się... co się stanie z Celestią, kiedy wrócę do domu? Kto będzie dziedziczył po mnie?

- Nikt.

Zatroskała się szczerze.

- Mój ojciec nie miał żadnych krewnych? Dalekich kuzynów, siostrzenic, bratanków? Sukcesja nie może się skończyć na moim bracie.

- Nie. - Po chwili dodał: - Ale może się skończyć na tobie.

Jej troska się pogłębiła.

- W takim razie co się stanie z Celestią? Napił się wina.

- Zgodnie z prawem zostanie podzielona na pół i przyłączona do pozostałych prowincji.

- To brzmi okropnie. - Nie udawała przerażenia. Wzruszył ramionami.

- Możesz temu zapobiec - podsunął.

Nie skończył jeszcze mówić, gdy zaczęła energicznie kręcić głową.

- Nie mogę. Mój dom jest w Nowym Jorku - przekonywała. - Mam tam mieszkanie. Obowiązki. Za dwa miesiące zaczynam nową pracę...

Kiedy przerwała, skrzywił się. Pojął, że w tym właśnie momencie uświadomiła sobie, że przez najbliższe cztery miesiące nie wróci do domu. Na pewno też straci pracę. Znalazła się w sytuacji, nad którą nie

panowała. Z powodu politycznego wstrząsu w Verdonii jej życie wywróciło się do góry nogami. I nic nie mogło tego zmienić.

Z każdą chwilą bardziej żałował konsekwencji, które zrodziło to porwanie. Ale też coraz mocniej się cieszył, że przyjechała do Verdonii. Już po krótkim czasie spędzonym z nią nabrał pewności, że tu było jej miejsce. Razem z nim.

Pozostało mu tylko ją o tym przekonać.

Ale to nie będzie łatwe. Alyssa przestała się uśmiechać, jej oczy pociemniały.

- Chyba muszę pomyśleć - powiedziała głosem pełnym bólu. - Dasz mi kilka minut? Obiecuję, że nie będę próbowała uciekać.

- Oczywiście. Przyniosę z samochodu nasze bagaże.

- Mamy jakieś bagaże? - Parsknęła smutnym śmiechem. - Wszystko zaplanowałeś, prawda? W każdym razie większość.

Wyszła z kuchni i po kilku chwilach usłyszał, że weszła do łazienki. Merrick został sam ze swoimi myślami. Nigdy nie przypuszczał, że tak się to potoczy. Tydzień wcześniej sprawy wydawały się oczywiste, a decyzje proste. Musiał się zastanowić. Bardzo starannie.

Przeniósł bagaże i auta do domu i usiadł w obitym skórą fotelu, który przypominał mu dawne wakacje spędzane w tym domu z bratem. Niewiele się zmieniło od tamtych czasów. Na środku kuchni wciąż stał ten sam stół, ze śladem wypalonym cygarem przez dziadka Williama. Wciąż słyszał babcię robiącą mężowi wyrzuty i miał przed oczyma dziadka, który jednym pocałunkiem przeprosił ją i sprowokował do śmiechu.

Nalał sobie wina i wyszedł na werandę. Usiadł w dziadkowym fotelu na biegunach. Dziadek nazywał go „fotelem zadumy”. Zastanawiał się.

Czy podjął słuszną decyzję? Czy postępował godnie i właściwie? A może nieświadomie pozwolił, żeby względy osobiste kierowały jego postępowaniem?

Po dwóch godzinach wciąż nie znał odpowiedzi na nurtujące go pytania. Zrezygnowany, wszedł do domu. Wziął szybki prysznic i wsunął się do łóżka. Gdyby był dżentelmenem, zostawiłby Alysę samą. Ale nie mógł. Potrzebował jej. Wsunął pod nią ramię i przytulił. Usłyszał ciche westchnienie.

- Przepraszam - szepnął. - Nie chciałem, żebyś straciła pracę i nie chciałem narażać twojej mamy. Gdybym mógł to zmienić, zrobiłbym to natychmiast.

- Możesz to zmienić. Ale nie chcesz.

- To prawda - przyznał. - Czy zaczekają na ciebie z tą posadą?

- Wątpię. Nie cztery miesiące. - Choć mówiła cicho i beznamiętnie, wyczuł ból i gniew w jej głosie.

- Gdybym cię nie porwał, efekt mógłby być taki sam. Wiesz o tym, prawda? - Poczul, jak zeszywniała w jego ramionach. Najwyraźniej nie brała tego wcześniej pod uwagę. - Gdybym się nie wtrącił, byłabyś teraz żoną Brandta von Folkego i twoja praca także by przepadła. Teraz masz szansę być wolna po czterech miesiącach i znowu zacząć się piąć po szczeblach kariery. Podejrzewam, że von Folke nie pozwoliłby ci na to. A już na pewno nieprędko.

- Ja... Nie pomyślałam o tym. - Długą chwilę leżała w milczeniu. - Nie wiem, co zrobię... potem.

- Możesz zostać w Verdonii. Zaśmiała się gorzko.

-I udawać księżniczkę Alysę, księżną Celestii?

- Jesteś księżniczką Alyssą, księżną Celestii. Ukończyłaś studia z psychologii i administracji, masz doświadczenie w międzynarodowych finansach. Jesteś doskonale przygotowana do sprawowania tej funkcji.

- Nie jestem częścią tego miejsca.

- Ale możesz być. Milczała długo.

- Czy on był twoim przyjacielem? - spytała niespodziewanie.

- Kto? - Zaskoczyła go. Ale już po chwili wiedział, kogo miała na myśli.

- Tolken. Wydawało mi się... Wydawało mi się, że się doskonale znacie. Więcej niż znacie... Przyjaźnicie. A właściwie, że jesteście przyjaciółmi, którzy się stali wrogami.

Nieustannie zaskakiwała go spostrzegawczością.

- Tak. Był moim przyjacielem. Moim najlepszym przyjacielem.

- Do wczoraj?

- Do chwili, kiedy cię pojmałem. Wtedy nasza przyjaźń się skończyła.

- Tak wielu straciło tak wiele - mruknęła.

- Śpij, księżniczko. Jutro ciężki dzień przed nami.

- Co będziemy robić?

- Musimy wciąż być w ruchu. Ale przynajmniej zobaczysz swój kraj.

- To nie jest mój kraj.

- Możesz zaprzeczać do woli, ale należysz do Celestii tak samo, jak ona należy do ciebie.

- A ty do kogo należysz?

- Do nikogo. I do niczego. Już nie.

Bolesna prawda. Głęboko wrósł w ziemię Verдона. Von Folke bez wątpienia wiedział o tym i na pewno to wykorzysta, jeśli tylko będzie mógł. Nie więzienie, ale wygnanie będzie najstraszniejszą karą.

- Co zamierzasz robić dalej? - spytała.

- Skończę, co zacząłem.

- A potem?

- Poniosę konsekwencje.

Następnego dnia pojechali na południe, w stronę Glynith, stolicy Celestii. Merrick musiał bardzo uważać, ponieważ był postacią publiczną, powszechnie znaną. Przygotował zawczasu kilka kryjówek, ale najpierw skierował się do domu bardzo blisko stolicy Celestii. Początkowo zastanawiał się, czyby się nie skryć w wynajętej chacie daleko w górach. Wolał jednak czekać na kolejny ruch von Folkego w miejscu, skąd miał więcej niż jedną drogę ucieczki.

Szybko się przekonał, że w jego przedsięwzięciu nie oczekiwanie było najgorsze, ale noce bez końca. Nie pojmował, jak mógł zakładać, że spędzi cztery miesiące w łóżku z Alyssą, trzymając w objęciach jej smakowite ciało. Już po tygodniu pożądanie wypaliło go niemal do cna. Kiedy tylko znajdowali się w łóżku, kiedy ją obejmował i mocno przytulał, natychmiast zasypiała. Spokojnie, jakby stanowili nieodłączną parę.

Na szczęście nie próbowała ucieczki. Inna rzecz, że nie dawał jej okazji. Pilnie jej strzegł w każdej chwili. Ale ósmego dnia miał już dosyć wpatrywania się w cztery ściany. I pilnowania samego siebie... Trzymania rąk z dala od Alyssy. Ona także musiała już być zmęczona, bowiem kiedy zaproponował krótką wycieczkę do stolicy, przystała z ochotą.

Jechali zatłoczonymi ulicami Glynith. Merrick opowiadał jej o mijanych miejscach, pokazywał ważniejsze budynki. W tym także królewską rezydencję.

- Nie jest tak okazała jak tamte w Verdonie czy w Avernos - mówił - ale jest bardzo wygodna.

- Jest olbrzymia - powiedziała słabo. - Nie potrafię sobie wyobrazić, że kiedyś mieszkała tutaj moja mama.

- Ty też - dodał rozbawiony.

-I miałam ojca i brata, których w ogóle nie pamiętam. Chciałabym...
Znałeś ich? Jacy byli?

- Twojego ojca nigdy nie spotkałem. Ale miał opinię dobrego człowieka, który dbał o swoich poddanych. Pochodził ze wsi jak moi dziadkowie i kochał ten kraj.

- A mój brat?

- Również był dobrym człowiekiem. Nie potrafię uwierzyć, że mógłby wziąć pieniądze za abdykację. Zapewne von Folke jakoś go zmusił.

- Nie wiem, jak można całe życie spędzić w jednym miejscu. - Wyraźnie usłyszał rozpaczliwą tęsknotę w jej głosie. Jakże inne byłoby jej życie, gdyby dorastała tutaj, pomyślał. - A co z Miri? Miałeś jakieś wiadomości o niej?

Zacisnął wargi.

- Nie. Gdyby Tolken miał ją w swoich rękach, na pewno coś by powiedział, kiedy nas odnalazł.

- Ale nie możesz być pewny.

- Nie skrzywdzi Miri. - Nie zabrzmiało to zbyt przekonywująco. -
Telefonowałem do domu kilka razy, ale nie mieli od niej żadnych wieści.

Strach i poczucie winy dręczyły go nieustannie. „Tak wielu straciło tak wiele” powiedziała Alyssa? Oto kolejny kamyk do tej mozaiki. Jego szlachetne intencje dawały oplakane skutki. Ale przecież robił to wszystko dla kraju.

Oboje nie mieli ochoty na szybki powrót, dlatego zgodził się na krótką przechadzkę po mieście. W pewnym momencie Alyssa zatrzymała się przed wystawą sklepu jubilerskiego. Coś przykuło jej uwagę.

- Ten mi się podoba - stwierdziła, wskazując ciemno-purpurowy ametyst.

Merrick uśmiechnął się.

- Masz doskonały gust. Ten kamień nazywa się „Verdonian Royal”. Ma wyjątkowo rzadką barwę, występującą tylko w tym kraju. Ametysty syberyjskie są zwykle bardziej błękitne. Bardziej popularne są te. - Wskazał leżące obok kamienie o odcieniu różowym. - Te nazywamy „Celestia Blush*”. Poza Verdonia ten kolor jest nazywany „Róża Francji”, ale my używamy historycznej nazwy.

** Celestia Blush (ang.) - Rumieniec Celestii (przyp. tłum.)*

- A ten pierścionek? Jest cudowny.

Zza szyby właściciel pomachał do nich. Nim Merrick zdołał ją zatrzymać, Alyssa weszła do sklepu. Psiakrew! Poprawił okulary przeciwsłoneczne, głębiej na oczy naciągnął czapkę z dużym daszkiem i podążył za nią.

Próżny trud. Właściciel rozpoznał go natychmiast. Merrick dyskretnie dał mu znak i pan Marston nie odezwał się ani słowem.

Alyssa pochyliła się nad szklanym kontuarem.

Marston wsunął jej pierścionek na palec i wyjaśnił:

- To bardzo rzadkie kamienie. Zawsze osiągają najwyższą cenę i używane są tylko do specjalnych wyrobów. Tak jak ten.

- Jest piękny. Oprawa jest z białego złota czy z platyny?

- Z platyny. - Posłał Merrickowi pytające spojrzenie. Uzyskawszy akceptujące skinienie głową, ciągnął: - Zabytkowy edwardiański wzór zawiera trzykaratowy kamień Royal, a dookoła błękitne brylanty i kamień Blush po każdej stronie. Każdy z nich waży 2,1 karata. Całość idealnie wyważona. Podstawa wysadzana jest brylantami po 0,44 karata każdy. Najwyższa jakość i niezwykła elegancja. - Popatrzył na Alysę ponad drucianymi oprawkami okularów. - Chce pani wiedzieć, co ten pierścionek mówi?

Alyssa uniosła brwi.

- Pierścionek mówi? Tak, proszę mi powiedzieć.

- Nasze najlepsze wyroby zawsze projektowane są tak, żeby wyrażały jakieś konkretne uczucie. W tym przypadku „Verdonian Royal” oznacza związek najbliższych przyjaciół. To właśnie ze względu na niespotykaną barwę te kamienie mają tak wielką wartość i są tak rzadkie. Uważa się za wielkie nieszczęście, jeżeli zostanie podarowany bądź przyjęty, a nie jest związany z prawdziwą miłością. Ten pierścionek ma jeszcze brylanty i kamienie Blush. Brylanty oznaczają wiele, ale przede wszystkim miłość i wieczność. A Blush w dawnych czasach były używane dla przypieczętowania umów i kontraktów. A tu, widzi pani? - Wskazał wzór wyryty na podstawie.

Alyssa przyjrzała się uważnie.

- Coś mi ten wzór przypomina. Merrick uśmiechnął się.

- To jest kształt Celestii. Od zarania dziejów Celestia była zwornikiem między Verdonem i Avernos. Łączyła wszystkie ziemie w jedno państwo.

- Czyli ten wzór symbolizuje zjednoczenie trzech kamieni w jeden, prawda?

- Bardzo trafnie ujęte. - Marston kiwnął głową. - Artysta nazwał ten pierścionek „Legenda”, bowiem jest legendą zjednoczenia na wieki ze szczęśliwym zakończeniem. Bratnie dusze zjednoczone nieśmiertelną miłością. Taki jest jej sens.

- Jest niesamowity - przyznała Alyssa z zachwytem. - Nigdy czegoś podobnego nie widziałam.

- Niestety od lat nie udało nam się kupić ani jednego kamienia podobnej jakości. Już i kamienie Blush coraz trudniej znaleźć. Problem się pogłębia. Zwłaszcza w ostatnich miesiącach. Krążą plotki, że pokłady ametystów się kończą. - Spojrzał na Merricka z nadzieją. - Może pan zna jakieś wyjaśnienie? Czy to spekulacje kopalń, jak mawiają niektórzy? A może chodzi o to, żeby podnieść ceny na międzynarodowym rynku?

- Nie wiem. - Merrick pokręcił głową. - A chciałbym. Ale mogę pana zapewnić, że problem jest nam znany i staramy się go wyjaśnić.

W drzwiach na zaplecze pojawiła się starsza kobieta.

- Wasza Wysokość - zawołała. - To dla nas wielki zaszczyt.

Alyssa zeszywniała.

- Wasza Wysokość? - powtórzyła. Kobieta uśmiechnęła się z politowaniem.

- Sądząc po akcencie, jest pani Amerykanką. Dlatego zapewne nie rozpoznała pani Jego Wysokości. To jest książę Merrick.

- Nie. - Alyssa cofnęła się gwałtownie. - To on jest dowódcą Królewskich Sił Specjalnych.

Kobieta pokiwała głową.

- To prawda. To jest dowódca, książę Merrick Montgomery. Jego starszy brat, książę Lander, może już niedługo zostać naszym królem. - Nieco zdezorientowana, spoglądała po kolei na wszystkich obecnych. - Przepraszam. Czy powiedziałam coś złego?

- Obawiam się, moja droga, że Jego Wysokość jest incognito - powiedział cicho pan Marston.

Kobieta nie zdążyła już z przeprosinami. Alyssa zdjęła pierścionek i ostrożnie odłożyła na kontuar. Potem obróciła się na pięcie i wybiegła ze sklepu.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Alyssa gnała wprost przed siebie. Byle jak najdalej od Merricka.

Czuła się oszukana. Przez Merricka. Na samą myśl czuła bolesne klucie w sercu. Kobieta zwróciła się do niego Wasza Wysokość. Powiedziała, że Merrick jest z rodu Montgomerych i że jego bratem jest książę Lander. A kto jest jedynym konkurentem księcia Brandta do tronu Verdonii? Książę Lander.

Całe to jego piękne gadanie o dobru kraju było zwykłym kłamstwem. Wszystko robił dla brata. Kierowała nim jedynie prywatnie. Tylko dlatego starał się przeszkodzić jej małżeństwu. Gdyby do niego doszło, zapewne to książę Brandt zostałby królem.

Biegła przed siebie, nie patrząc dokąd. Skręcała to w lewo, to w prawo. Dyszała ciężko. Jak mogła być taka głupia? Widziała, z jakim szacunkiem traktowali Merricka inni ludzie. Dostrzegając otaczającą go aurę władzy. Widziała, jak zareagowali na jego widok ludzie von Folkego. Ale uznała, że był to respekt dla dowódcy Królewskich Sił Specjalnych. Kiedy już jednak poznała prawdę, musiała uciec.

Zauważyła w oddali postać w mundurze. Czy to był przedstawiciel miejscowej władzy? Jeśli tak, mógł jej pomóc się dostać do amerykańskiej ambasady. Ale nim zdążyła zrobić krok w jego kierunku, ciężkie ramię opasało ją i przycisnęło do muskularnego, męskiego ciała... Znajomego ciała. Duża dłoń zasłoniła jej usta.

- Ani słowa - szepnął Merrick wprost do jej ucha.

Pociągnął ją w głąb wąskiego zaułka. Umundurowany mężczyzna w oddali skończył rozmawiać i obrócił się. W świetle słońca rozpoznała twarz Tolkena. Zmartwiała.

- Widzę, że rozpoznałaś naszego przyjaciela - szeptał Merrick. - Wygląda na to, że Tolk przestał się ceregielić i zaczął poszukiwania na szeroką skalę. A to oznacza, że musimy znaleźć nową kryjówkę. - Wzmocnił uścisk. -Uważaj, księżniczko. Kiedy ci powiem „ruszaj”, to ruszaj. Kiwnij głową, że zrozumiałaś i się zgadzasz.

Gorąca łza spłynęła na jego dłoń zasłaniającą jej usta. Poczowała, że zrobiło to na nim wrażenie. Westchnął cicho. Czyżby żałował? - pomyślała. Niemożliwe.

- Nie odpowiedziałaś mi. Naprawdę nie chciałbym być zmuszony użyć siły. Posłuchasz mnie?

Przytaknęła. Ale nie zwolnił uścisku. Pomału wycofali się w głąb uliczki. Nie wiedziała, jakim sposobem potrafił uniknąć przeszkód na drodze.

- Teraz odsłonię ci usta, ale jeśli tylko piśniesz, pożałujesz. Kiedy cię puszcze, pójdziemy do samochodu. Będziemy szli szybko. Ale nie wolno biec. Dwoje zakochanych spieszących się do domu, rozumiesz?

Kiwnęła głową. Ostrożnie odsłonił jej usta. Stała bez ruchu. A on poprawił jej kołnierzyk bluzki i odgarnął włosy. Otoczył ją ramieniem i przytulił. Ruszyli. Po kilku minutach dotarli do samochodu. Przez cały czas nie wydała żadnego dźwięku. Ale kiedy tylko wsiedli do auta, zawołała:

- Okłamałeś mnie, draniu! Nie powiedziałeś, że jesteś bratem księcia Landera.

Bez słowa uruchomił silnik i ruszył.

- Masz mi coś do powiedzenia? - spytała.

- Nie tu i nie teraz.

Minęli ich ostatnie mieszkanie, nawet nie zwalniając.

- Dokąd... Dokąd jedziemy? Czemu nie wracamy do mieszkania? - spytała zaniepokojona.

- Bo to zbyt niebezpieczne. Przeprowadzamy się. Niedaleko stąd mam kolejny bezpieczny dom. Spędzimy tam noc przed wyjazdem w góry.

- Ale nasze ubrania...

- Zdobędziemy nowe. Wszystko, czego potrzebujemy, mam ze sobą.

Zamilkła, wściekła i wyczerpana zarazem, i wbiła wzrok w okno.

Tyle chciałyby mu powiedzieć, ale zabrakło jej słów. Być może z wyczerpania. Ale raczej dlatego, że gdyby spróbowała się odezwać, nie zdołałaby powstrzymać łez.

Podróż ciągnęła się jej bez końca. Kluczyli wąskimi, krętymi uliczkami, wiele razy zawracali. Po godzinie Merrick nabrał pewności, że nikt za nimi nie jechał. Wtedy wyjechali z miasta w stronę gór. Dotarli wreszcie do wielkiego domu u podnóża wzgórza.

Gdy tylko znaleźli się wewnątrz, Merrick obszedł wszystkie pomieszczenia, sprawdzając okna i drzwi. Sprawdza drogi ucieczki, pomyślała. Dom był śliczny i znacznie obszerniejszy niż ich wszystkie wcześniejsze kryjówki.

- Czyj to dom? - spytała.

- Kogoś, kogo nie znam osobiście. Kogo Tolk nie zdoła wytropić.

- Odnalazł nas szybciej, niż się spodziewałeś, prawda?

- Tak. - Jego głos pełen był obaw.

Wrócili do salonu i Merrick podszedł do bogato zaopatrzonego baru.

- Musimy porozmawiać - powiedział, rozlewając napoje.

- O czym? Skłamałeś. Koniec dyskusji.

- Zaslługujesz na wyjaśnienia. - Podał jej napełniony bursztynowym płynem kieliszek. - Proszę. To ci powinno dobrze zrobić.

Głęboko wciągnęła bogaty aromat trunku.

- Czy brandy jest legalnym lekarstwem na zdradę? - spytała.

- To ty mi musisz powiedzieć.

- W tej sytuacji... - Uniosła kieliszek. - Za zaufanie.

- Przepraszam, Alysso. Powinienem był ci powiedzieć, kim jestem.

- A kim naprawdę jesteś? - Uśmiechnęła się gorzko.

- Tak jak powiedziała żona Marstona, jestem Merrick Montgomery.

- Czy to nie oznacza, że jesteś księciem Merrickiem? Młodszym bratem księcia Landera, władcy Verdonu? - Uniosła brwi. - Mam rację?

- Tak.

- Tego samego księcia Landera, który rywalizuje z księciem Brandtem o tron?

- Tak. - Mocno zacisnął zęby.

- Wygląda na to, że twoje lekarstwo nie działa. Nadal się czuję zdradzona.

- Bardzo mi przykro.

- Wierzyłam ci - wyszeptała. Nie odezwał się ani słowem. -

Naprawdę wierzyłam, że to, co robisz, robisz z uczciwych pobudek.

Okazało się, że byłam w błędzie, że chodziło ci tylko o to, żeby twój brat został królem. Jakaż byłam głupia. Powinnam się była uczyć na błędach mojej mamy. Nigdy nie ufać mężczyznom.

Poczerwieniał z gniewu, aż się cofnęła o krok.

- Myślisz, że się nie zastanawiałem nad swoimi pobudkami? Że się nie obawiałem, że mogą nie być całkiem czyste?

Odwróciła się i podeszła do szklanych drzwi. Pchnęła je i wyszła na wielki balkon. W oddali leżało Glynith.

Wyczuła, że Merrick stanął za nią, i odezwała się, nie odwracając głowy.

- Może i zadawałeś sobie pytania o motywy, ale to cię nie powstrzymało przed uprowadzeniem mnie.

- To prawda. - Postawił swój kieliszek na balustradzie, - Bowiem wszystko razem sprowadzało się tylko do jednego: co jest najlepsze dla Verdonii?

- To twój brat jest najlepszy, tak?

- Nie.

Zaskoczona, obróciła się ku niemu. Wiele wysiłku musiała włożyć w ukrycie uczuć, które w niej budził. Nigdy wcześniej nie pragnęła nikogo tak bardzo. Zatrzymała spojrzenie na jego ustach. Blizna unosiła kącik jego ust na kształt uśmiechu. Wciąż pamiętała, jak czuła tę bliznę pod wargami.

- Jeśli twój brat nie jest najlepszy, to po co mnie porwałś?

Wypił łyk brandy i odstawił kieliszek na stolik.

- Najlepszy jest ten, kogo mieszkańcy Verdonii wskażą w nadchodzących wyborach. Ale to musi być ich wybór. Nie von Folkego. I nie Landera. Rozstrzygnąć muszą wszyscy mieszkańcy Verdonii. O to walczę.

Brzmiało to rozsądnie. I wcale jej się to nie podobało. Zbyt mocno zapadało w serce. Zbyt mocno poruszało czułe struny w jej duszy.

- I co teraz? - spytała po chwili. - Co będzie dalej? Będziemy kontynuować naszą czteromiesięczną pielgrzymkę?

- To już nie będzie konieczne. Zaufanie to droga dwukierunkowa, Alysso. My nie ufamy sobie nawzajem. Pora więc na bardziej drastyczne posunięcie.

Z trudem przełknęła ślinę.

- Aż się boję spytać, co też to może być - powiedziała.

- Zawsze mam plan B. Miałem jednak nadzieję, że nie będę musiał go zastosować. - Uśmiechnął się ironicznie. - Weźmiemy ślub.

- My... co? - wydusiła.

- Weźmiemy ślub. Gwałtownie pokręciła głową.

- Chyba oszalałeś.

- Pomyśl tylko, Alysso. Jeśli ja się z tobą ożenię, von Folke nie będzie mógł.

- Znalazłeś doskonałe rozwiązanie. Doskonały sposób. .. żeby zabić moją mamę.

- Gdy będziemy małżeństwem, nie będzie mógł wykorzystać nas jako zakładników. Jesteś wolna. Oczekamy stosowny czas i rozwiedziemy się. A co do twojej mamy... - Potarł brodę. - Jeśli wyjdiesz za mnie, natychmiast pojedę, żeby ją uwolnić.

- Mówisz poważnie?

- Jak najbardziej poważnie.

- Ty... mógłbyś to zrobić?

- Mogłem zrobić to już dawno, gdybym wierzył, że jest w prawdziwym niebezpieczeństwie. Umowa stoi? Wyjdiesz za mnie?

Potrzebowała czasu do namysłu. Trochę więcej niż dwie sekundy. Ale nie miała go. Nabrała głęboko powietrza.

- Tak - powiedziała. - Wyjdę za ciebie. -Fantastycznie. - Oprócz niewątpliwej satysfakcji, wyczuła w jego głosie jeszcze coś innego. Coś bardziej osobistego. - Przypieczętujemy więc naszą umowę.

Zrobiło się cicho. Tylko łomoczące serce dudniło w uszach Alyssy. Zbliżył się do niej. Wziął ją w ramiona i przytulił. Doskonale wiedział, jak jej dotknąć, jak ją pocałować, żeby zapłonęła.

Zapamiętali się w zmysłowym, namiętym pocałunku. Ich języki splątały się w gwałtownym starciu. Czowała jego dłonie sunące w dół jej pleców. Przycisnął ją do siebie. Był podniecony. Poczowała to wyraźnie i jej serce przyspieszyło gwałtownie.

Wplotła palce w jego włosy i przyciągnęła niżej jego głowę. Chwyliła zębami jego dolną wargę i lekko ścisnęła. Czas i przestrzeń przestały istnieć. Słyszeć było tylko przyspieszone oddechy, szelest ubrań i ciche pomruki.

Pragnęła, by uniósł jej spódnicę i ulżył rozpaczliwemu pragnieniu. Przez całe życie była sama. Niekończące się samotne dni i noce. Życie bez celu. W pogoni za niewiadomym. Pragnęła się zatrzymać, zappełnić tę pustkę. Gdyby jej usta nie były zamknięte pocałunkiem, wykrzyczałaby to błaganie.

I nagle, jakby stanęła obok siebie, zobaczyła samą siebie błagającą nieznanego, na balkonie obcego domu, żeby wziął ją natychmiast. Było to jak wiadro zimnej wody. Zadrżała. Co ja wyrabiam? - pomyślała. Jak

mogła być tak niemądra? Czy przykład matki niczego jej nie nauczył? Czy niczego jej nie nauczyła zdrada Merricka? Uwolniła się z jego objęć, zawstydzona tym, co zrobiła.

- Dość. - Bardziej była to prośba niż rozkaz. - To jest błąd. A ja popełniłam ich już w życiu zbyt wiele.

Widziała wahanie w jego oczach. Po chwili pocałował ją jeszcze ostatni raz i cofnął się o krok.

- Umowa przypieczętowana - skwitował. Zwilżyła wargi.

- Jeśli o to chodzi...

Uniósł brwi, wyraźnie rozbawiony.

- Czyżbyś już chciała złamać dane słowo?

Miała na to olbrzymią ochotę. Czowała się złapana w potrzask. Ale robiła to dla ratowania mamy. Zawarłaby pakt nawet z diabłem, żeby osiągnąć cel.

- Nie martw się. Wytrwam - powiedziała. - Pamiętaj tylko, żebyś grał uczciwie.

Spochmurniał.

- Nic z tego, księżniczko. Moja praca polega na ustalaniu reguł.

Odwróciła się i bez słowa wróciła do salonu. Odprowadził ją cichy śmiech Merricka, stawiając jej przed oczyma rzecz oczywistą, że nie była tam dla romansu, ale żeby pomóc mamie. I tylko o tym powinna pamiętać.

Po kilku minutach poszukiwań przypomniała sobie, gdzie była sypialnia. Zamknęła się tam z nadzieją, że Merrick zostawi ją samą. Oparła się o drzwi i zacisnęła powieki. Rozpaczliwie pragnęła się uwolnić od uczuć, które nią miotały. Dlaczego żaden inny mężczyzna nie budził w niej takich pragnień?

Odepchnęła się od drzwi i ruszyła w ciemność targana zmiennymi emocjami. Po chwili zatrzymała się przed wielkim łóżkiem. Przez jej myśli zaczęły przelatywać nieskładne obrazy. Mężczyzna i kobieta, nadzy. Gładka, jedwabna pościel. Pierwsze, delikatne dotknięcia. Łagodne, niespieszne. Ciche słowa i krzyki. Powolny rytuał miłości.

Miłości!

Odwróciła się od łóżka. Co się ze mną dzieje? - pytała się w myślach. Nie. Nie było żadnej miłości. Tylko seks. Odetchnęła głęboko. Do licha! Jeden pocałunek i jej hormony kompletnie oszalały. A gdzie samokontrola?

Miała tylko jeden cel - uratować mamę. I tylko to się liczyło.

- Co ty, u diabła, wyrabiasz?

Merrick skrzywił się, szerzej otworzył drzwi i wpuścił do środka brata.

- Nie wiem, o czym mówisz. - Nic innego nie przyszło mu do głowy. Nie miał pojęcia, ile Lander wiedział naprawdę.

- Mówię o porwaniu księżniczki Alyssy Sutherland -wycedził Lander.

Cholera! Jednak wiedział dużo. Zbyt dużo.

- Kto ci powiedział?

- Miri. - Lander wszedł do środka. Poruszał się energicznie, niecierpliwie, jak gniewne zwierzę. Słusznie mówiono o nim Lew z Mt. Roche. - Jest teraz na karaibskiej wyspie Mazoné. Pewnie dlatego, że wie, że nasza mama skreśliłaby wam karki, gdyby się dowiedziała, że jesteście w to zamieszani.

- Bogu dzięki, że jest... - Bezpieczna. Merrick ugryzł się w język. -
Załatwię to z mamą.

- Powodzenia. - Staął przed Merrickiem ze skrzyżowanymi
ramionami. - Gdzie jest księżniczka? Zabieram ją do Avernos.
Natychmiast.

Merrick zaklął pod nosem.

- Śpi i nigdzie nie pojedzie. Poza tym wcale nie chcesz, żeby
pojechała dokądkolwiek. Jeśli wróci do von Folkego, stracisz wszelkie
szanse w elekcji.

Lander przerwał mu władczy gestem.

- No to przegram wybory.

- Nie wtrącaj się - warknął Merrick. - Alyssa i ja zamierzamy się
pobrać. Wtedy w łeb wezmą plany von Folkego i wybory odbędą się
zgodnie z zasadami.

- Nie uwierzę, że księżniczka Alyssa zgodziła się na tak drastyczny
krok.

- Uwierz mi. Gdy miała do wyboru mnie albo von Folkego, decyzja
nie była trudna.

- Możesz przysiąc, że robi to dobrowolnie? Że nie zmusiłeś jej tak
jak Brandt?

Wobec takiego podejrzenia Merrick aż się cofnął.

- Do diabła, oczywiście! Nie zmuszam jej. Nie jestem von Folkem -
zawołał. Chociaż nie dałby głowy, że zgodziła się absolutnie dobrowolnie.

- Osiągnęliśmy porozumienie. Wychodzi za mnie w zamian za to, że
wyratuję jej matkę.

- Sukins... Znowu von Folke?

- Tak. - Merrick skierował się do drzwi. - Musisz iść. Nie chciałbym, żeby ktokolwiek się dowiedział, że się kontaktowaliśmy.

Lander stał bez ruchu.

- Nie zobaczymy się aż do końca tego szaleństwa, prawda? - Tak.

- Zdajesz sobie sprawę, ile poświęcasz? Nie musisz tego robić. Nie dla mnie.

- Doskonale wiem, co poświęcam. Mimo to nie cofnę się. Jutro wszystko będzie załatwione. - Uśmiechnął się krzywo. - Jak więc widzisz, uważam, że gra jest warta konsekwencji.

Lander odchrząknął.

- Dziękuję - powiedział.

- Moja przyjemność i powinność, Wasza Wysokość. - Merrick skłonił się lekko.

- Och, odwal się - prychnął Lander wyraźnie zakłopotany. - Mam coś dla ciebie. - Podał mu etui z płytą CD.

- Chciałeś dostać plany pałacu von Folkego. Postanowiłem, że sam ci je dostarczę.

- Nie powinieneś był tego dotykać - zaprotestował zatroskany Merrick. - Tak jak nie powinieneś był tutaj przyjeżdżać. Staram się trzymać cię z daleka od tego. Chcę, żebyś pozostał poza wszelkimi podejrzeniami.

- Nie oszukuj sam siebie. Przecież wiesz, że to niemożliwe. Choćbym się wszystkiego wypierał od rana do nocy i tak nikt nie uwierzy. Jesteś moim bratem. Dla wszystkich będzie oczywiste, że jestem zamieszany w porwanie i wszystkie twoje późniejsze poczynania. - Twarz mu się ściągnęła. - Nie obchodzi mnie to. To nie my zaczęliśmy tę grę. To

von Folke od początku grał nieczysto. I to on będzie krzyczał najgłośniej. Naprawdę chciał ją zmusić do małżeństwa? Jesteś tego pewien?

- Absolutnie. Kiedy Alyssa się zorientowała, że uwięził jej matkę, zrozumiała, że nie ma żadnego wyboru. Gdybym się nie włączył, byłiby już po ślubie. - Merrick wskazał drzwi do sąsiedniego pokoju. - Chodź. Tam jest komputer. Popatrzymy, co jest na tej płycie.

Lander poszedł za nim i oparty o biurko przyglądał się.

- Odkąd się dowiedziałem o zamiarach von Folkego, zastanawiam się, dlaczego on to zrobił - powiedział Lander, gdy czekali, aż komputer się włączy. - To nie w jego stylu.

- Mam przeczucie, że to ma związek z gwałtownym spadkiem podaży ametystów. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że coś się zdarzyło w kopalniach.

Lander pokręcił głową.

- Dlaczego miałyby ukrywać problemy w kopalniach?

- Nie jestem pewien - przyznał Merrick po chwili namysłu. - Może z przyczyn politycznych? Gdyby wyszło na jaw, że kopalnie zostały wyeksploatowane, a on nie zasygnalizował problemu wystarczająco wcześnie, musiałyby słono zapłacić podczas elekcji. - Wsunął płytę do napędu. - Dobrze. Popatrzymy, czy uda się nam znaleźć dla mnie najlepszą drogę wślizgnięcia się do pałacu, porwania matki Alyssy i wydostania się.

Lander wskazał podziemny korytarz wiodący pod wewnętrznym dziedzińcem pałacu i pod kaplicą.

- Może tędy? - spytał. - Mógłbyś się zakraść między drzewami obok kaplicy, korytarzem przedostać się do pałacu i dopaść ich, zanimby się zorientowali, co się stało.

- Jeśli założymy, że nie zamknął korytarza.

- Hmm. Jeśli go zablokował, to może tędy. - Lander wskazał południowe wejście.

Merrick zaczął szkicować i pisać coś w notatniku.

- Jeszcze dziś w nocy wyślę tam jednego z moich ludzi, żeby się rozejrzał w sytuacji.

Lander wyprostował się.

- A kiedy ślub? - spytał.

- Słucham? A, jutro.

- Może... ukrylibyśmy ją na kilka miesięcy. Nie musisz się posuwać do rozwiązania aż tak ekstremalnego jak ślub.

- To zbyt niebezpieczne. Mogłaby uciec. Von Folke mógłby ją odnaleźć. Zagrożeń jest dużo. Tylko małżeństwo daje gwarancję, że nie uda mu się zrealizować zamysłów.

- Czy ona wie, że zgodnie z prawem Verdonii małżeństwo staje się legalne tylko wtedy, gdy zostanie skonsumowane? - spytał Lander surowo.

- Nie rozmawialiśmy o tym.

-I nie zamierzasz jej powiedzieć, prawda?

- To nie będzie problemem.

- Już z nią spałeś? - spytał Lander niepewnie. Merrick się zjeżył.

- To nie twój interes.

- Nie wydaje mi się. Nie muszę ci chyba mówić, jak bardzo to jest niestosowne. Darzysz tę kobietę jakimś uczuciem? Nie zamierzasz chyba potraktować tego małżeństwa poważnie?

- Nie bądź śmieszny - zachnął się Merrick. - Robię to dla Verdonii. Tylko dla Verdonii. Małżeństwo z Alyssą jest tylko środkiem do osiągnięcia celu. Niczym więcej.

- Już dawno nie słyszałem takiego steku bzdur. Możesz mi tu opowiadać, że ta kobieta nic cię nie obchodzi, ale jestem twoim bratem. Wiem, kiedy kłamiesz.

Gniew rozpałił Merricka. Chyba dlatego, że Lander był bardzo bliski prawdy.

- Tu chodzi o coś znacznie ważniejszego niż nasz związek. Ważniejszego nawet niż wybory. Po abdykacji Erika, brata Alyssy, prowincja rozpaczliwie potrzebuje księżniczki. Jeśli Alyssa nie zostanie tutaj, to będzie to koniec Celestii. Mam zamiar temu zapobiec.

- A może tylko szukasz usprawiedliwienia dla tego, że wzięłaś ją do łóżka? - rzucił sucho Lander.

Merrick nie znalazł odpowiedzi. Im bardziej chciał zaprzeczyć, tym było mu trudniej. Może nie całkiem, ale

Lander miał rację. Żeby małżeństwo było legalne, musi być skonsumowane. Jeśli Lander znajdzie choćby cień szansy, będzie robił trudności. Ale to małżeństwo da również Merrickowi usprawiedliwienie dla własnych żądz. Gdy zostaną już mężem i żoną, nie będzie miał wyboru. Będzie musiał dopilnować, aby związek stał się legalny. Wciąż miał nadzieję, że Alyssa pozostanie w Verdonii i obejmie księstwo. Celestia potrzebowała tego. Bez Alyssy nie miała szans na przetrwanie.

Prawdziwym problemem było to, czy decydował się na to małżeństwo dla dobra Verdonii, czy może jego motywy były znacznie mniej szlachetne?

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Dzień ślubu Alyssy wstawał jasny i ciepły. Pełen zapachów późnej wiosny. Ślub zaplanowano na wczesny wieczór, kiedy kościół jest zamknięty dla parafian. Podczas przygotowań myśli Alyssy powracały do ceremonii sprzed dwóch tygodni. Wciąż pamiętała strach, który wtedy odczuwała.

Tym razem było inaczej. I czuła się z tego powodu nieswojo. Powinna nienawidzić Merricka. Przecież wcale nie był lepszy od księcia Brandta. Ale nie potrafiła.

Od chwili, gdy ujawnił jej swój plan, sprawy nabrały gwałtownego przyspieszenia. Merrick wybrał miejsce, a jeden z jego ludzi przywiózł suknię, buty i welon. I obrączki. Ona nie miała na nic wpływu.

Późnym popołudniem pojechali do kaplicy. Wspaniale udekorowana, niewielka, robiła doskonale wrażenie. Stwarzała przytulny, intymny nastrój.

Po raz kolejny Alyssa ze zdumieniem śledziła własne reakcje. Tak różne od tych sprzed dwóch tygodni. Była trochę zdenerwowana, trochę podniecona. I nie czuła strachu. Już raczej... niecierpliwie oczekiwanie?

Potrząsnęła głową. Niemożliwe. Przecież wcale nie chciała wychodzić za Merricka. Robiła to tylko po to, żeby ratować mamę.

- To dla pani. - Ktoś podał jej cudny bukiet ułożony z ziół, bluszczu i gałązek. - To tradycyjny bukiet. Zioła mają odpędzać złe duchy i obdarzać pannę młodą licznym potomstwem. Gałązki brzoźowe chronią i dają

mądrość. Ostrokrzew symbolizuje świętość. A bluszcz ma zagwarantować wierność.

- A to? - Alyssa musnęła palcami kwiaty lawendy.

- To nasze narodowe kwiaty. Gwarantują małżeństwu szczęście i miłość.

Jakie słodkie, pomyślała.

Kiedy się spotkali z Merrickiem przed ołtarzem, zaniemówiła. Nie sądziła, że jest aż tak przystojny. Słońce było już nisko. Jego promienie rozświetlały kaplicę feerią małych tęczy.

Merrick wziął ją za rękę i pocałował.

- Wszystko będzie dobrze - wyszeptał. - Obiecuję. Jego słowa obudziły w jej sercu silną tęsknotę. Co by było, gdyby się spotkali w innych okolicznościach? Gdyby dorastała w tym kraju? Czy pokochałaby go? Czy może przeżyliby krótki, gwałtowny romans i się rozstali?

Z ceremonii zapamiętała niewiele. Od chwili, gdy Merrick jej dotknął i spojrzał jej w oczy, czas zwolnił. A cały świat się odsunął. W pamięć wryła jej się tylko chwila, gdy Merrick powtarzał słowa przysięgi. Mocnym, pewnym głosem. A potem wsunął jej na palec obrączkę.

Kiedy ją ujrzała, zaparło jej dech z zachwytu. Platynowy pierścień wysadzany na przemian brylantami i kamieniami „Verdonian Royal” i „Celestia Bush”. Zanim zdążyła się odezwać, pocałował ją. W tym momencie uświadomiła sobie, że jej uczucia do Merricka uległy zasadniczej zmianie.

I tak oto znalazła się w prawdziwych tarapatach.

Alyssa nie umiała sobie wytłumaczyć, co się z nią stało tuż po ceremonii. Jeden pocałunek kompletnie ją rozbił. Nagle zaczęło jej zależeć

na Merricku. Kiedy to się stało? - pytała samą siebie. Dlaczego wszystko wydało jej się nagle dobre? Pełne ładu i harmonii? A na dnie jej duszy rosła z każdą chwilą coraz większa namiętność.

W drodze powrotnej milczeli. Weszła do ciemnego pokoju i zdjęła welon. I to był moment, w którym wątpliwości opadły ją ze zdwojoną siłą.

- Co myśmy zrobili? - mruknęła.

- Wciąż się wahasz?

Spojrzała na Merricka i przestraszyła się. Zobaczyła, że zdejmował garnitur.

- Co robisz? - spytała.

- Trochę wygody. - Rzucił marynarkę na oparcie fotela. - Pomóc ci zdjąć suknię?

Cofnęła się o krok.

- A potem co? - rzuciła, zanim zdołała się zastanowić.

- Miałam na myśli...

- Wiem, co miałaś na myśli - powiedział miękko.

- Przepraszam. - Stał stanowczo zbyt blisko. Wciąż się czuła skrepowana. - Chyba nie wyraziłam się zbyt zrecznie.

Wpatrywał się w nią uważnie.

- No, to jest szansa, że dalej będzie lepiej. - Uśmiechnął się zabójczo.

- Kiedy już się pozbędziemy ubrań, zamierzam cię uczynić moją żoną w każdym tego słowa znaczeniu. Nawet gdyby to miało być tylko na tę noc.

O Boże! Powiedział to. Część jej duszy zadrżała z niecierpliwości. Lecz obawa wzięła górę.

- Nie ma szans - ucięła.

- Myślę, że szanse są wielkie. Pragniesz mnie tak samo jak ja ciebie.

- Podszedł jeszcze bliżej. Zbyt blisko! - Od prawie dwóch tygodni każdą noc spędzaliśmy w jednym łóżku. To była niewiarygodna tortura.

Zaprzeczysz?

- Czujemy do siebie pociąg... - zaczęła. Na widok jego miny urwała.

- Dobrze, w porządku. Pragnę cię. Zadowolony?

Może to takie uczucia targają nią podczas ceremonii? Zwykła żądza?

- Jest tylko jeden sposób, żebyśmy oboje doznali satysfakcji i doskonale o tym wiesz. A może się boisz? Czy tak, księżniczko? Boisz się wykonać ostatni krok? Boisz się, co się stanie, jeśli go zrobisz?

Dumnie uniosła głowę.

- Gdzie chcesz? - rzuciła. - Tutaj? Może na stole? A może tutaj? -

Wycelowała palec w dywan. - Może wolisz w kurzu i brudzie?

Tego było mu za wiele. Zanim zdążyła zareagować, znalazła się w jego ramionach.

- Ja wolę wygodne łóżko - szepnął.

- Merricku, zaczekaj...

- Czekałem już wystarczająco długo. Dzisiaj to skończymy.

Bez słowa poniósł ją w stronę sypialni, aż suknia furkotała w powietrzu. Postawił ją na środku ciemnego pokoju. Szybko rozejrzała się dookoła. Wolałaby, żeby pokój był bardziej kobiecy. Ale nie był. W panującym półmroku był prawie groźny. Jak Merrick. Zakręciła się na pięcie w poszukiwaniu drogi ucieczki i znalazła się tuż przed nim.

- Cii. - Przytulił ją. - Spokojnie.

- Zmieniłam zdanie. Nie mogę. Po prostu nie mogę.

- Sprawdźmy, czy potrafisz ci pomóc. - Uniósł jej lewą rękę i pogłaskał palcem lśniąca obrączkę. - Niedawno złożyliśmy sobie przysięgę. Pamiętasz ją?

- Przysięgałam... - Głos jej się załamał. - Przysięgałam kochać. Szanować i dbać.

-I ja także. Ta obrączka symbolizuje pierwszy rozdział książki, którą odłożyłaś, zanim cokolwiek się zaczęło. Nie zostawiaj jej nieprzeczytanej. To, co się dotychczas wydarzyło, to dopiero prolog. A co dalej, księżniczko? Dokąd nas zaprowadzi opowieść?

- Donikąd.

- To nieprawda i dobrze o tym wiesz. Może nas zaprowadzić, dokąd tylko zechcesz. To my nadajemy kierunek. Możemy nawet zacząć wszystko od nowa i napisać nowy początek. - Uniósł jej dłoń i pocałował obrączkę. - Albo możemy podążać w nowym kierunku. Zacząć od nowej strony. Wybór należy do ciebie.

- A jaki ty masz wybór? - Splotła palce z jego palcami. W świetle księżycy obrączka na jego palcu lśniła i migotała. - Co będzie z tobą, kiedy będzie już po wszystkim?

Zawahał się przez chwilę.

- Ja mam przed sobą znacznie mniej możliwości.

- To znaczy?

- Dla mnie możliwe jest tylko jedno zakończenie. Von Folke o to zadba.

- Masz na myśli więzienie?

- Najprawdopodobniej. - Pogłaskał ją po policzku. Otarł łzy, których nie zdołała powstrzymać. Obłok przysłonił na chwilę księżyc i obrączki na

krótko zgasły, by znów jasno zaświecić. Proroctwo? - Spójrz na mnie, Alyssa.

Uśluhała. Zobaczyła w jego spojrzeniu spokój i pewność.

- Nie boję się kochać z tobą - wyznała. - Boję się tego, co będzie potem. Jak nas to zmieni.

- Zaufaj mi.

Dwa słowa zawisły między nimi. Kolejna chmura przesunęła się przed księżycem. Pokój wypełnił się migocącymi cieniami. Merrick zbliżył się do niej. W milczeniu zdjął koszulę. Patrząc jej w oczy, rozpiął spodnie. Zgrzyt suwaka rozległ się w cichym pokoju. Alyssa poczuła, że zaschło jej w ustach. Jej serce tłukło się coraz mocniej. Jednym ruchem zdjął resztę ubrania i wyprostował się. Wyglądał jak potężna rzeźba w księżycowej poświacie. W niemym zachwycie sunęła wzrokiem od potężnych ramion, przez szeroką klatkę piersiową ku wąskim biodrom. Stał bez ruchu, nie próbując nawet kryć swego pożądania.

- Co robisz? - wyszeptała z trudem.

- Udowadniam ci, że nie masz się czego bać - powiedział łagodnie. - Wszystko, czego zechcesz, jest twoje.

- Tylko dzisiaj - bąknęła. - Tylko na tę jedną noc. Wiesz o tym, prawda?

- Niech będzie na jedną noc. Ale gdy nadejdzie jutro, może się okazać, że ci to nie wystarczy.

Pragnęła go, ale się bała. Stała więc bez ruchu.

- Jutro nie należy do nas. Sam mnie ostrzegałeś. Von Folke...

- Damy sobie z nim radę. A poza tym, kto wie, może wszystko się powiedzie. - Otworzył szeroko ramiona. - Chodź. Bądź ze mną. Chwytaj okazję.

Jego słowa niosły obietnicę i nadzieję, że jej marzenia się ziszczą. Uległa ich czarowi. Oparła dłonie na jego piersi i rozpoczęli magiczny taniec. Przez kilka minut niemal się nie dotykali. Muskali się jedynie. Szeptali. Całowali.

Aż poczuła, że ma na sobie zbyt wiele ubrania. Że dzieli ich zbyt wiele. Ale nie musiała się spieszyć. Pragnęła się rozkoszować każdą chwilą.

Merrick powoli rozpiął guziki sukni. Uniosła ramiona i miękki jedwab odplynał. Poczowała na rozpalonej skórze chłodne powietrze. Potem jej halka odbyła drogę w dół. Klęknął i unosząc kolejno jej stopy, zabrał ją. Została tylko w staniku i stringach. Chwycił ją za biodra i obsypał pocałunkami.

Jego gorący oddech parzył przez jedwab okrywającego ją trójkątą. Zaczepił palce o gumkę i płynnym ruchem zsunął z niej majtki. Pocałunki spadły na nią ze zdwojoną siłą. Odrzuciła głowę do tyłu i zanurzyła się w doznaniach, których nie doświadczyła nigdy przedtem. Konwulsyjnie wplotła mu palce we włosy.

- Spokojnie, księżniczko. Mamy mnóstwo czasu.

- Tak, dobrze. Ja tylko... - Zadrżała. - Muszę się rozebrać do końca. Chcę cię czuć na sobie. Albo pod sobą. Nie upieram się. Roześmiał się.

- Pomogę ci - wychrypiał.

Chciała, żeby każda chwila trwała wieczność. Chciała się rozkoszować każdym gestem, każdą pieszczotą. Ale nie potrafiła opanować desperackiego pożądania.

- Szybciej! Pospiesz się! - rzuciła.

Nie spieszył się, ale już po chwili jego gorący oddech i zadziwiająco delikatne usta sprawiły, że eksplodowała. Cichy, chrapliwy okrzyk wyrwał jej się z krtani. Kolana się pod nią ugięły i wpadła wprost w ramiona Merricka.

Uniósł ją i położył na łóżku.

- Po co? - spytała słabo.

- Dam ci rozkosz - Nawet nie próbował udawać, że nie zrozumiał. - Wsunął ręce pod jej plecy i rozpiął stanik. - A to da rozkosz mnie.

- W takim razie przygotuj się - rzuciła ostrzegawczo. - Twoja rozkosz wystrzeli aż pod sufit. Zamierzam o to zadbać.

Klęknęła, zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go. Z dziką zachłannością. Która, ku jej zdumieniu, znów obudziła jej namiętność. Jakby minione minuty w ogóle nie istniały. Jakby się nigdy nie dotykali. Objęła go z całej siły.

- Zabijasz mnie, księżniczko.

- Nie zamierzam cię zabić. Będę się tylko z tobą kochać do upadłego.

Przewrócił ją na plecy.

- Chyba jakoś to przeżyję - powiedział.

Parsknęła śmiechem. Lecz jego usta szybko go stłumiły. Całował ją z wielkim kunsztem i zapamiętaniem. Potem obsypał pocałunkami ją całą. Sunął od ramion, przez szyję, ku preżącym się niecierpliwie sutkom. Tutaj jego usta się zatrzymały. A dalszą podróż rozpoczęły dłonie.

Z każdą chwilą jej podniecenie rosło. Pragnęła go, jak nikogo dotąd. Chwyła go za włosy i przyciągnęła do ust jego usta. Jej niecierpliwa dłoń wsunęła się między gorące ciała i odszukała go. Zacisnęła uda wokół jego bioder i przyjęła go z rozkoszą.

Z miłością.

Spróbował się cofnąć, lecz nie pozwoliła. Mocniej zacisnęła nogi. Mocniej napała biodrami.

- Nie przestawaj - wysapała. - Choćbyś miał mnie zabić. Choćby ciebie miało to zabić. Nigdy nie przestawaj.

Po krótkiej chwili odnaleźli wspólny rytm. Płomień pożądania rozlewały się jak potop. Coraz mocniej i gwałtowniej. Krzyk zagotował się w jej krtani. Czują zbliżający się koniec. Szczyt. Potężny. Ogromny. Nieznany.

Z niezmierzonej oddali dotarł do niej głos:

-Alyso.

Jedno słowo. Niemal szept. I stało się to, co było niemożliwe.

Znalazła dom.

Merrick przebudził się w kompletnych ciemnościach. Właściwie nie wiedział dlaczego, lecz wystarczyła sekunda, by zrozumiał. Jego ramiona były puste. Łóżko było zimne. Usiadł gwałtownie, szukając w ciemnościach Alyssy.

Zasłony przy drzwiach balkonowych poruszyły się. Zrozumiał. Odrzucił pościel i wyszedł, nagi, prosto w chłód nocy. Alyssa, zawinięta w szlafrok, stała oparta o barierkę. Spoglądała na migające w oddali światła miasta. Księżyc srebrzył u jej stóp jej kraj rodzinny, Celestię.

Kiedy tylko się zorientowała, że stał za nią, zrzuciła szlafrok. Objął ją w pasie i przytulił. Obróciła się ku niemu i objęła za szyję. Chwytał ją za biodra, uniósł do góry i wszedł w nią jednym zdecydowanym pchnięciem. Obrócił się i oparł ją o drzwi.

A potem powoli, niezwykle pomału, zaczął się poruszać. Miarowo, coraz rytmiczniej. W tempie, które słyszeli oboje. I tylko oni. Położyła sobie na piersiach jego ręce. Wygięła się w milczącej ekstazie. Blask księżyca dodawał lśnienia jej skórze. Jej nieziemski pasja ujęła go do głębi. ; Sięgnęła najskrytszych zakamarków duszy.

Zwarci w uścisku zbliżali się do kresu. Fala za falą, rozkosz pchała ich ku spełnieniu.

- Miałeś rację - wyszeptała mu wprost do ucha. - Jedna noc to za mało.

I eksplodowała w jego ramionach.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Następnego ranka Merrick obudził się wcześnie. Wschodzące słońce nie wyszło jeszcze ponad horyzont, ale pierwszy jego blask złocił jego żonę. Jego żonę.

Na samą myśl poczuł dumę i radosne podniecenie. Alyssa był jego kobietą. Złączoną z nim na zawsze. Kiedy po raz pierwszy powiedział o małżeństwie, myślał tylko o formalnym zabiegu. Jak o kontrakcie handlowym. Pragnął Alyssy, ale był to tylko pociąg fizyczny. A noc poślubna miała jedynie zagwarantować legalność związku. Teraz nie był już taki pewien swoich motywów.

Zamknął oczy. Do diabła! I co dalej? - pomyślał. Ich związek nie miał szans powodzenia. Zbyt wiele stało mu na przeszkodzie. Już choćby to, że on żył w Verdonii, a ona w Stanach. Uprowadził ją. Naraził jej matkę na niebezpieczeństwo. Najprawdopodobniej skończy w więzieniu. Ona podejmie pracę w Nowym Jorku. Nie najlepsze perspektywy dla małżeństwa.

Robiło się coraz jaśniej. Sygnał, że czas ucieka. I chociaż bardzo nie chciał, musiał wyjechać. Obiecał swojej żonie, że ruszy na ratunek jej matce zaraz po ślubie. I musi dotrzymać danego słowa.

Dał sobie jednak jeszcze pięć minut. Patrzył na twarz śpiącej Alyssy. Jej piękno urzekało go nieustannie. Na równi z jej charakterem.

Pocałował ją. Zamruczała cicho i rozchyliła wargi. Zatrzepotała powiekami.

- Dzień dobry - zamruczała sennie. - Wcześnie wstałeś.

- Dzień dobry, żono. - Uśmiechnął się czule. - Witaj w pierwszym dniu naszego małżeństwa.

Nie mógł się powstrzymać. Znowu ją pocałował. Ujął ją za kark i wpił się w jej usta. Objęła go mocno. Po długiej chwili odsunęła się i popatrzyła na niego. Spodziewał się, że coś powie, ale ona bez słowa znów przyciągnęła do siebie jego głowę. Nie potrzebował więcej zachęty. Ale przecież miał zobowiązania.

Odgarnął włosy z jej twarzy.

- Na mnie już czas - powiedział.

- Wychodzisz? - spytała rozczarowana. - Dokąd?

- Do Avernos.

- Avernos?

Rozbawiła go. Chciałby, żeby naprawdę zapomniała, co jej obiecał.

- Twoja mama, pamiętasz? - Patrzyła nań nieprzytomnie. - Nasza umowa - dodał.

- Nasza... Och! Boże! - Głęboki rumieniec oblał jej policzki. - Jednym pocałunkiem wyczyściłeś moją głowę ze wszystkich inteligentnych myśli.

Rozczuliła go jej rozbijająca szczerłość.

- Wszystko już przygotowałem. Zostaniesz z kilkoma moimi ludźmi. Będą cię chronić podczas mojej nieobecności.

Przez moment wydawała się nie rozumieć, co do niej mówi. Potem usiadła gwałtownie. Odruchowo okryła się kołdrą aż pod szyję.

- Wyjeżdżasz beze mnie? Nie ma mowy. Jadę z tobą. Pokręcił głową.

- To zbyt niebezpieczne. Łatwiej i szybciej zdołam się zakraść, zabrać twoją mamę i uciec samotnie.

- Nie pójdzie z tobą, jeśli mnie tam nie będzie. Nie przekonasz jej beze mnie.

- Przekonam ją tak, jak przekonałem ciebie. Zobaczył furję w jej spojrzeniu.

- Zamierzasz uprowadzić moją mamę? Chcesz ją sterroryzować tak jak mnie? Wspaniale. Genialny plan.

Zacisnął zęby.

- Mogę nie mieć wyboru - ostrzegł.

- Nie możesz tego zrobić. Ona nie jest taka jak ja. W strasznych sytuacjach nie wpada w gniew, tylko w przerażenie.

- Tylko do czasu, aż wyprowadzę ją na bezpieczny teren. - Naprawdę nie rozumiała? - Wtedy wszystko jej wyjaśnię.

- Proszę, Merricku. Nie rób tego. Jesteś sam. Sam jeden przeciwko armii księcia Brandta. Będziesz musiał uprowadzić stawiającą opór, wrzeszczącą i szarpiącą się kobietę. Nie widzę szans powodzenia. Chyba że zamierzasz jej przyłożyć nóż do gardła. - Jej oczy zrobiły się wielkie jak spodki. - O mój Boże! Taki masz plan? Nóż do gardła mojej mamy?

Czy naprawdę tak mało go znała?

- Oczywiście, że nie. Jeśli cię to uspokoi, zamierzam zabrać ze sobą kilku ludzi. Ale nie mogę ryzykować zabrania ciebie.

-Nie możesz ryzykować...? A co ja mam zrobić, kiedy cię złapią? Ukrywać się z twoimi ludźmi do końca życia?

Ranek był już w pełni. Jaskrawe światło wpadało do pokoju, igrało na jej obrączce i rozsiewało dookoła maleńkie tęcze. Obietnica i przyrzeczenie ich wspólnej przyszłości.

- Musisz mnie ze sobą zabrać - nalegała. - Tylko to ma sens.

Merrick sięgnął do torby po dzinsy.

- Może dla ciebie - powiedział. - Dla mnie nie.

- Przecież jesteśmy małżeństwem. Księżę Brandt nic już nie może zrobić. Powstrzymałeś go.

- Nie znasz go. Von Folke dużo może... i robi. Zawinięta w prześcieradło, ze skrzyżowanymi ramionami, patrzyła na niego twardo.

- Dużo może i robi, czy będę z tobą, czy nie.

- Nie mogę ryzykować. Nie mogę cię narażać.

- A ja ciebie, mężu, mężu. Podszedł do niej.

- Lysso, księżniczko. - Uśmiechnął się. - Żono. Musisz mi zaufać.

- Ufam ci. Ja tylko...

- Nie, żadne tylko. Bez dyskusji. - Ujął jej twarz w dłonie. - Tak czy nie? Ufasz mi czy nie?

Wargi jej zadrżały.

- Nie masz pojęcia, o co prosisz.

- Doskonale wiem, o co proszę. Nie odpowiedziałaś na moje pytanie.

- Musnął jej usta szybkim pocałunkiem. - Posłuchaj swego serca. Co ci mówi?

Odpowiedź, jakiej pragnął, zawisała na jej wargach. Zamglila jej spojrzenie. Doświadczenia życia z matką zmusiły ją do zbudowania wokół siebie niewidzialnego muru. Była podejrzliwa. Nieufna. Teraz bariery zaczęły drżeć i pękać. Merrick czuł, że był bliski przebicia się przez nie.

- Merricku...

W tym momencie zadzwonił jego telefon komórkowy. Chciał zignorować dzwonienie. Pragnął usłyszeć odpowiedź. Ale ten numer znało

tylko kilka osób. I wszystkie one wiedziały, że kontaktować się z nim należało tylko w przypadku najwyższej konieczności.

- Montgomery - rzucił do mikrofonu.

- Odnaleźli was - usłyszał głos jednego ze swoich ludzi. - Człowiek von Folkego, Tolken. Jest już w drodze. Wasza Wysokość, musicie natychmiast uciekać.

- Co? Co się stało? - rzuciła Alyssa, kiedy tylko przerwał połączenie.

- Tolken. Jedź tutaj. - Merrick wyrzucił na łóżko zawartość torby. - Ubierz się. Szybko.

Nie traciła czasu na zbędne gadanie. Ubrała się pośpiesznie. W tym czasie Merrick zwinął jej suknię ślubną i wepchnął do torby.

- Co robisz? - spytała. - Musimy się spieszyć.

- Nie zostawimy twojej ślubnej sukni.

- Sentyment?

- Nie patrz tak na mnie. Po prostu nie chcę zostawiać żadnych śladów naszego małżeństwa. - Urwał pod jej badawczym spojrzeniem. - No, dobrze, może jestem trochę sentymentalny. Zabierz welon i idź do samochodu. Muszę tu jeszcze posprzątać.

Pięć minut później pędzili już jak najdalej od Glynith. Zdąжали na północ, w kierunku Avernos. Merrick zakładał, że Tolken będzie ich szukał na południu. W Verdonie, kontrolowanym przez Montgomerych.

-I co teraz? - spytała Alyssa.

- Zorganizuję spotkanie z jednym z moich ludzi, który dostarczy mi sprzęt potrzebny do uratowania twojej ; matki. A ciebie zawiezie do innej kryjówki. Przy odrobinie szczęścia dołączymy do ciebie, z twoją mamą, w ciągu dwudziestu czterech godzin.

- Pozwól mi jechać z tobą - poprosiła płaczącym głosem. - Mogę się przydać.

- Nie, nie możesz.

Tym razem łzy popłynęły po jej policzkach.

- Przecież jesteśmy małżeństwem, Merricku. Jeśli się zjawimy u księcia Brandta, może pozwoli nam zabrać mamę bez żadnych komplikacji.

-Nie mam zamiaru spotykać się z Brandtem. Ani mówić mu o naszym ślubie. Gdyby to ode mnie zależało, trzymalibyśmy się od niego jak najdalej. Ciebie trzymałbym jeszcze dalej - dodał po chwili.

Uśmiechnęła się słabo. Przez następne dwie godziny podróżowali w milczeniu. Kiedy jednak dotarli do miejsca umówionego spotkania, nikt na nich nie czekał. Nikt też nie odbierał telefonów. Merrick się zdenerwował. Po trzech godzinach oczekiwania uruchomił silnik.

- Zmiana planów - rzucił.

- Jadę z tobą?

- Jedziesz ze mną.

- A co z potrzebnym ci sprzętem?

- Wiem, skąd go wziąć. Ale to wszystko bardzo mnie niepokoi.

Wczesnym rankiem przekroczyli granicę między Celestią i Avernos. Zatrzymali się niedaleko miejsca, skąd Merrick uprowadził Alysę. Z bagażnika wyjął kupiony po drodze ekwipunek. Jego żona cierpliwie czekała, aż założył noktowizor i zapoznał ją z planem operacji. Potem ruszyli przez las do kaplicy.

Na granicy drzew złapał ją za rękę. Stanęli.

- Myślę, że o tej porze nie będzie tutaj nikogo - powiedział. - Ale musimy uważać. Schyl się i idź za mną. Zgoda? - Przytaknęła. - Niedaleko kaplicy jest wejście do tunelu, który prowadzi na wewnętrzny dziedziniec. Wiesz, gdzie to jest?

- Tak. Wokół tego dziedzińca są prywatne apartamenty. W jednym z nich trzymają moją mamę.

- Wiesz w którym? Zmarszczyła czoło.

- Może sobie przypomnę, kiedy już tam będziemy. Jeśli jej, oczywiście, nie przenieśli. Trzymali nas osobno. Możesz sobie wyobrazić, jakie byłyśmy przerażone. - Na samo wspomnienie zadrżała.

Objął ją i mocno przytulił.

- Nie martw się. Znajdziemy ją. - Musieli się jeszcze wydostać z pałacu i dotrzeć do granicy. Wszystko jednego dnia. - Dobrze, chodźmy. Kiedy się znajdziemy na dziedzińcu, postarasz się wskazać mi jej pokój.

Wszystko szło łatwiej, niż oczekiwał. Bez problemów minęli pustą kaplicę i odszukali wejście do tunelu. Drzwi były zamknięte, ale nie znalazł przy nich żadnych czujników ani kamer. Otwarcie zamka zajęło mu mniej niż minutę. Ale dalej mogło być trudniej.

Na końcu korytarza zatrzymali się. Merrick sprawdził wszystko starannie, ale także nie znalazł żadnych systemów alarmowych. Coraz bardziej go to niepokoiło. Pułapka, pomyślał. Czuł, że powinni się natychmiast wycofać. Ale wiedział, że nie zdołałby przekonać Alyssy.

Rozejrzał się po dziedzińcu. Do budynku prowadziło dwoje drzwi. I tu wreszcie znalazł system alarmowy. Obejrzał go starannie i jego niepokój jeszcze wzrósł.

Do diabła! Nie potrafił sobie wyobrazić, żeby Tolken użył czegoś równie prymitywnego. Obaj przeszli znacznie lepsze szkolenie. Wrócił do tunelu.

- Co się stało? - spytała Alyssa.

- To pułapka.

- Gdzie? Jak?

- System alarmowy jest zbyt prymitywny. Mogę go rozbroić w minutę.

- To chyba dobrze. Westchnął.

- Wiedzą, że nadchodzimy, i czekają na nas. Powinniśmy wrócić.

- Nie bez mojej mamy. Obiecałeś - nalegała. - Dałeś słowo.

- Dałem. I dotrzymam. Ale nie chcę, żeby coś ci się stało.

- Chcesz, żebym wróciła do samochodu, tak?

-I odjechała, jeśli nie wrócę za pół godziny. Pokręciła głową.

- Nic z tego. Zostaję.

- Alysso...

- Tracimy czas, Merricku. Pójdźmy tam, znajdziemy mamę i uciekajmy, gdzie pieprz rośnie, zanim nas odkryją.

Widział jej strach. Była na granicy paniki. Jeśli mieli zrobić cokolwiek, to natychmiast. Chwycił ją za rękę i pocałował obrączkę.

- Dobrze, księżniczko. Słuchaj uważnie. Kiedy się znajdziemy na dziedzińcu, zatrzymamy się, żebyś się mogła rozejrzeć dookoła. Jest tam dwoje drzwi. Jedne po lewej, drugie na wprost. Spróbuj sobie przypomnieć, którymi bliżej do pokoju twojej mamy. Gotowa?

Gdy dotarli na dziedziniec, ukryli się w cieniu drzewa. Alyssa rozglądała się przez moment i wskazała drzwi po lewej. Po minucie alarm był rozbrojony. Merrick otworzył drzwi i weszli do środka.

Korytarz był pusty. Niedobrze. Obawy Merricka nasiliły się. Bał się o Alyssę. Dlatego nie zabrał broni. Postanowił, że gdy tylko znajdą się w tarapatach, podda się. Żeby jej nie narażać na niebezpieczeństwo.

Pociągnęła go za rękaw i wskazała drzwi w głębi korytarza. Kiwnął głową. Trzymając ją za sobą, podszedł do drzwi. Wsunął wytrych do zamka i pomału je otworzył. Pokój tonął w ciemnościach, ale dzięki noktowizorowi zobaczył stojącą na środku kobietę. Brakowało jeszcze tylko powitalnego transparentu.

Ale nie zdołał zatrzymać Alyssy.

- Mamo! - Rzuciła się naprzód.

Zaklął cicho. Wtedy zapłonęło światło, oślepiając go zupełnie. Zerwał z twarzy noktowizor. W tym momencie chwyciło go wiele rąk. Przewrócili go i przycisnęli do podłogi. Pół tuzina mężczyzn poruszało się po pokoju pewnie i szybko. Widać było, że byli świetnie przygotowani i wytrenowani. Nie bronił się. To nie miało sensu. Po chwili pozwolili mu stanąć z rękoma skutymi kajdankami na plecach.

Tolken stał obok łkających i ściskających się kobiet.

- To była druga najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłeś, Wasza Wysokość - zawyrokował.

- A pierwsza? - spytał, chociaż doskonale znał odpowiedź.

- Urowadzenie księżniczki Alyssy, rzecz jasna.

- Nie zgodzę się z tobą. - Usiłował się uśmiechnąć. - Być może była to najmądrzejsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłem.

- Zmienisz zdanie, kiedy porozmawia z tobą księżę Brandt.

Merrick spoważniał.

- Albo to jemu mina zrzędzie - powiedział. Tolken i eskorta poprowadzili Merricka i dwie kobiety przez pałacowe korytarze do olbrzymiego, bogato zdobionego gabinetu. Za biurkiem, z kieliszkiem w dłoni, siedział von Folke. Kiedy weszli, wstał i przyjrzał im się uważnie.

- Dobrze się czujesz, kochanie? - zwrócił się w końcu do Alyssy. - Montgomery nie zrobił ci krzywdy?

- Dziękuję, nic mi nie jest - uspokoiła. Zaskoczył go ciepły, serdeczny ton von Folkego. - Montgomery nie zrobił mi krzywdy.

Kiedy spojrzał na Merricka, jego spojrzenie stwardniało. Oczy zaświeciły gniewem.

- Ukradłeś mi żonę, sukinsynu - warknął. Alyssa zadrżała.

- Skradłem ci pannę młodą - poprawił Merrick. - A to różnica.

Brandt doskoczył do Merricka, chwycił go za gardło i uderzył nim o ścianę.

- Ona nie jest tylko panną młodą, draniu. Jest moją żoną. Ośmielisz się zaprzeczyć?

- Twoją żoną? Do diabła, oczywiście, że zaprzeczę. - Ku radości Alyssy, Merrick się nie bronił. Nie naraził się na kolejne uderzenia.

- Co ty wygadujesz? Zakradłeś się do mojego domu w środku nocy i zabrałeś mi ją. Kiedy moi ludzie cię znaleźli, byłeś z nią w łóżku. - Wściekłość aż dusiła go. - Możliwe, że ją wykorzystałeś, ale to nie zmienia faktu, że ona jest moją żoną. Ośmieliłeś się dotknąć mojej kobiety i będziesz się za to smażył w piekle.

- Porwałem ją, to prawda. Ale nie w środku nocy. - Mówił wolno i dobitnie. - I, żebyś wiedział... Ona nie jest twoją żoną.

Brandt zacisnął pięści. Alyssa była pewna, że za chwilę uderzy Merricka prosto w twarz. Lecz on się powstrzymał. Cofnął się o krok i ciężko oddychał. Widać było tylko, jak walczył ze sobą.

- Nigdy nie skłamałeś, Merricku - odezwał się w końcu. - Mając na względzie naszą wieloletnią znajomość i twoje zasługi dla kraju, dam ci jedną szansę na usprawiedliwienie twoich czynów. Później życie stanie się dla ciebie bardzo bolesne. Merrick wyprostował się.

- Po pierwsze nie poślubiłeś Alyssy Sutherland. To fakt nie do podważenia. Jeśli chodzi o usprawiedliwianie moich uczynków, doskonale znasz powody, dla których to zrobiłem. Naród Verdonii zasługuje na uczciwe, niezmanipulowane przez ciebie wybory. Moim obowiązkiem było powstrzymanie cię. I dokonałem tego. Koniec historii.

- Nie zamierzam z tobą dyskutować o polityce. Może kiedyś przyjdzie na to lepszy czas. Teraz liczy się tylko krzywda, jaką wyrządziłeś mojej żonie, i kłamstwa, które wygłaszasz na jej temat. - Brandt podszedł do Alyssy. - Poślubiłem tę kobietę dwa tygodnie i jeden dzień temu. Ceremonię poprowadził biskup Varney. Po uroczystości udała się do swojego pokoju, gdzie... przebywała przez cały czas.

- Pod strażą?

Gorący rumieniec oblał policzki Brandta.

- Byłem z nią tamtej nocy. Powinienem wiedzieć, kogo poślubiłem. - Uniósł rękę Alyssy. - Nosi nawet moją obrączkę.

Alyssa wysoko uniosła rękę, żeby wszyscy mogli zobaczyć.

- Mylisz się, książę - powiedziała. Zdumiony, chwycił ją za rękę.

- Co zrobiłaś z obrączką, którą ci dałem?

- Nigdy żadnej mi nie dałeś.

- Wyjaśnij to!

- Merrick ma rację. Nie brałam udziału w tamtej ceremonii. On porwał... to znaczy, uciekłam z nim, przed ślubem.

- To niemożliwe - rzucił Brandt odruchowo. - Byłaś tu. Podczas ceremonii. Przysięgaliśmy.

Potrząsnęła głową.

- Nie byłam. Nigdy cię nie poślubiłam.

- Kolczyki. Nadajniki naprowadzające. - Przeształ z nogi na nogę. -
Dzięki nim cię wtedy odnaleźliśmy.

- Kolczyki dałeś mi przed ślubem - sprostowała. -Przypomnij sobie.
Czy widziałeś je kiedykolwiek później? Podczas ceremonii? Potem?
Podczas nocy poślubnej?

Zacisnął usta i pokręcił głową.

- Skąd mam wiedzieć, że nie kłamiesz?

- Nie potrafię ci tego udowodnić. Ale zapewniam cię, że mówię
prawdę. Poślubiłam tylko jednego mężczyznę. I to nie byłeś ty.

-Kogo? - syknął. - Montgomeryego? Wyszłaś za niego?

Merrick wyrwał się strażnikom.

- Tak, wyszła za mnie - potwierdził. - Zabieraj łapska od mojej żony!

Brandt skamieniał.

- Wszyscy precz - rzucił. - Odprowadzić panią Barstow do jej
pokoju. Księżniczka Alyssa zostaje.

- Nie! - krzyknęła Angela. - Chcę zostać z moją córką. Brandt
położył jej rękę na ramieniu i ścisnął delikatnie.

- Tylko na chwilę - odezwał się łagodnie. - Nie martw się, proszę.

Wkrótce to wszystko się skończy i będziesz mogła wrócić do domu.

- Obiecujesz?

- Obiecuję. - Spojrzał na Tolkena. - Ty i księżę Merrick także zostacie.

Po chwili zostali sami.

- Trzymaj go - rozkazał Brandt Tolkenowi, wskazując Merricka.

Potem zwrócił się do Alyssy: - Zechciej mi wybaczyć, księżniczko, ale muszę zweryfikować twoje słowa.

- Jak? - zawołał Merrick, widząc przerażenie w jej oczach.

- Rozepnij. - Brandt wskazał na dzinsy Alyssy.

Merrick rzucił się do przodu, ale silne ręce go powstrzymały. Szarpał się, ile miał sił, lecz skuty kajdankami nie miał szans.

- Przestań! - krzyknęła Alyssa. - Merricku! Nie warto.

Złote ognie płonęły w jego oczach.

- Przysięgam na Boga, Brandt. Jeśli jej dotkniesz, zabiję cię.

- Nie dotknie mnie. Nie pozwolę mu na to. - Rozsunęła suwak i spojrzała na księcia Brandta. - Proszę. Czego chcesz teraz?

Stanął przed nią, zasłaniając ją przed oczami pozostałych mężczyzn.

- Pokaż mi biodro. Kobieta, którą poślubiłem, miała tam tatuaż.

Usłuchała. Z czerwonymi policzkami, odsunęła spodnie.

- Zadowolony?

- Drugie biodro, jeśli łaska. - Gdy uczyniła, co kazał, zamyślił się. -

Istnieje coś takiego jak zmywalne tatuaże, prawda?

- Tak. - Alyssa zapięła spodnie.

- A zatem nie ma pewności, że i twój nie był taki, chyba że... Raz jeszcze proszę o wybaczenie, Alyssa. Jest tylko jeden sposób, żebym się przekonał.

- Co chcesz zrobić? Uśmiechnął się.

-Sprawię, że twój mąż... zakładając, że jest twoim mężem... bardzo się rozzłości.

- Zapewne ja także - rzuciła twardo.

- Zapewne ty także - odparł.

Nie dał jej czasu do namysłu. Ujął jej twarz w dłonie i pocałował. Merrick krzyczał gniewne obelgi. A on najpierw delikatnie muskał jej wargi, aż w końcu wpił się w nie z pasją.

Po długiej jak nieskończoność chwili Brandt podniósł głowę. Podszedł do Merricka.

- Wygląda na to, że twoja żona mówiła prawdę - powiedział. - Ona nie jest kobietą, którą poślubiłem. - Odwrócił głowę do Tolkena. - Twoi ludzie muszą to wyjaśnić.

- Tak jest, Wasza Wysokość. Dowiem się wszystkiego, jak tylko tu skończymy.

- Opowiedz mi wszystko, Montgomery - rozkazał Brandt. - Kiedy, gdzie, jak?

- Proszę bardzo. - Merrick wyszarpnął się z rąk Tolkena. - Dwudziestego maja o wpół do drugiej. Zakradłem się do lasu za kaplicą. Twoja panna młoda przyszła tam z jednym strażnikiem. Obezwładniłem go... - Szrama skrzywiła lekko jego uśmiech. - I uwolniłem twoją niedoszłą żonę.

- Przy mojej pełnej współpracy - dodała Alyssa. Brandt uniósł dłoń.

- Całkiem nieźle - powiedział. - Ale pamiętając, że wówczas twoja matka była... moim gościem, wątpię, byś poszła z nim z własnej woli.

- Merrick przekonał mnie, że jej nie skrzywdzisz.

- Naprawdę? - Słysząc było rozbawienie w jego głosie. - I uwierzyłaś mu?

- Tak.

- Wspaniale. - Skinął w stronę Merricka. - Kontynuuj. Nie wspomniałeś jeszcze o ludziach, którzy byli z tobą.

- Byłem sam.

- Kłamiesz. Ale w tych okolicznościach to zrozumiałe. - Zwrócił się do Tolkena. - Najwyraźniej któryś z twoich ludzi zapomniał o tym zameldować. Znajdź go i załatw sprawę.

- Użyłem strzałki z nowoczesnym środkiem usypiającym - wyjaśnił Merrick. - Ofiara traci przytomność tylko na chwilę. Mógł być przekonany, że zasnął lub zemdlał na krótko. A ponieważ, kiedy oprzytomniał, panna młoda nadal tam była, mógł się wstydzić przyznać. A tymczasem ja zawiozłem Alyssę do kryjówki, w której twoi ludzie odnaleźli nas następnego ranka.

- Kiedy to... Jak to powiedziałaś? A, tak, uwolniłeś mój helikopter i odleciałeś do Celestii.

Merrick przechylił głowę na bok.

- Bardzo dziękuję za wsparcie.

- Czy musisz go prowokować? - zawołała Alyssa.

- Kiedy wzięliście ślub? - ciągnął Brandt.

- Dwa dni temu.

- Zakładam, że potrafisz to udowodnić.

- Potrafię.
- Mam jeszcze jedno, ostatnie pytanie.
- Zawsze do usług. - Merrick uśmiechnął się szeroko.
- Tak z ciekawości... - Brandt zbliżył się pomału z takim wyrazem twarzy, że Alyssa zadrżała. - Kogo ja poślubiłem?

RS

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Merrick wzruszył ramionami.

- Kobiętę, którą przywiozłem. Nie przypomnę sobie jej imienia.

- Spróbuj.

Udawał, że się zastanawia.

- Bardzo mi przykro. Nie potrafię.

- Zapewne pobyt w celi poprawi ci pamięć.

- Nie licz na to - rzucił Merrick hardo. Brandt stanął tuż przed nim.

- Poślubiłem kobietę, którą przywiozłeś, w przekonaniu, że to

Alyssa. Wziąłem ją do łóżka i kochałem się z nią. - Uniósł brew. -

Zareagowałaś. Ciekawe. A więc ją znasz. I z jakiegoś powodu nie jest ci

obojętne, co robiliśmy. Przypuszczałbym, że wcześniej była twoją kochanką, gdyby nie mały drobiazg.

- Jaki? - wydusił Merrick.

- Moja tajemnicza panna młoda była dziewicą.

- Jak śmiałaś ją tknąć?! - wybuchnął Merrick. - Nie miałaś prawa!

- Miałem wszelkie prawa. Została moją żoną. - Pochylił się do przodu. Mówił bardzo cicho, ale z niezwykłym naciskiem. - Uważasz, że wzięłem ją siłą? Przemyśl to jeszcze raz. I powiedz mi, kim ona jest i dlaczego ją chronisz.

- To moja praca. To ja ją w to wciągnąłem. I moim obowiązkiem jest się upewnić, że nie spotka jej żadna krzywda.

- W takim razie nie powinieneś być jej w to wciągając. - Cofnął się i skinął na Tolkena. - Zaprowadź księcia Merricka i jego żonę do

Apartamentu Ametystowego. I, Tolken - oczy mu pociemniały - upewnij się, że będą strzeżeni. Nie chcę więcej niespodzianek.

Merrick zatrzymał się w drzwiach. Chciał mieć ostatnie słowo.

- Zostawiła cię, Brandt - rzucił przez ramię. - Twoja żona mogła z tobą zostać. Ale nie zrobiła tego. Przemyśl to.

Jednak to nie jemu przypadło ostatnie słowo.

- Lepiej pomyśl, jak się dobrze pożegnać ze swoją żoną, zamierzam bowiem dołożyć wszelkich starań, żeby to była ostatnia noc, jaką z nią spędzisz przez najbliższe długie lata.

Kiedy się znaleźli w swoim pokoju, Alyssa rzuciła się Merrickowi w objęcia.

- To wszystko moja wina - zawołała.

- Nie. To wina von Folkego.

- Ostrzegałeś mnie, że to pułapka. Powinnam była cię posłuchać.

- Owszem, to prawda.

- Zdumiewające. - Pokręciła głową. - Siedzimy tutaj w zamknięciu, grozi ci więzienie, a bierzesz to wszystko tak lekko?

- A cóż innego mógłbym zrobić?

- Przytul mnie. - Objęła go mocno. - Co do jednego miałeś rację.

- Często miewam rację - stwierdził z porażającą skromnością. - Co masz na myśli?

- Widziałeś, jak książę Brandt traktował moją mamę? Był taki... delikatny. Łagodny. Mówiłeś mi, że on jej nic nie zrobi, a ja ci nie wierzyłam.

- Ale nie mogłaś ryzykować. Rozumiem to.

- Tak mi przykro, Merricku. Nie mogę znieść myśli, że przeze mnie trafisz do więzienia. Co my teraz zrobimy?

- Damy von Folkemu czas na przemyślenie wszystkiego. - Z głośnym sykiem wypuścił powietrze. - Co da i mnie czas na przemyślenia.

- To nie będzie łatwe - powiedziała z namysłem. - A co z Miri?

- Ani słowa na jej temat. Słyszysz, Alysso? Ani słowa Brandtowi.

Nachmurzyła się.

- Nie powiesz mu, z kim wziął ślub?

- Nie ma mowy. Nie pozwolę, żeby się kręcił przy mojej siostrze, tak jak i nie pozwolę, żeby się kręcił przy mojej żonie.

- Została z nim, Merricku - powiedziała z wahaniem. - Jeśli księżę Brandt powiedział prawdę, sama postanowiła z nim spać. Kazałeś jej to zrobić?

Aż odskoczył do tyłu.

- Do diabła, nie! Jak mógłbym jej choćby zasugerować coś takiego?

- Tak też myślałam. Ale przecież stało się. Czy poszłaby z nim do łóżka tylko po to, żeby nam dać więcej czasu na ucieczkę?

- Nie.

Położyła mu ręce na ramionach.

- Czy to jest „Nie, mam nadzieję, że tak się nie stało, bo nie zniósłbym wyrzutów sumienia, gdyby to zrobiła” czy też „Nie, ona nigdy nie zrobiłaby czegoś takiego, bo to nie leży w jej naturze”? Przepraszam, że zadam to pytanie, ale czy Miri miała poczucie obowiązku tak duże jak ty? Czy przespałaby się z księciem Brandtem dla dobra kraju?

Zaklął pod nosem.

- Tak, miała silne poczucie obowiązku. Nie, mam wielką nadzieję, że nie zrobiłaby czegoś tak głupiego, jak pójście do łóżka z von Folkem tylko po to, żeby dać nam czas do ucieczki.

Bał się nawet pomyśleć, że mogłaby mieć jakieś inne powody. Ciągle jednak miał w pamięci rozmowę z Alyssą pierwszej nocy po porwaniu, kiedy rozważali możliwość istnienia osobistych przyczyn udziału Miri w całej akcji.

-I co teraz? - spytała Alyssa.

- Teraz zrobimy, jak powiedział von Folke. Wykorzystamy dany nam czas.

- Nie mów tak - zaprotestowała z przestachem. - Nie trafisz do więzienia. Przynajmniej, jeśli ja będę miała cokolwiek do powiedzenia. Nie mogą udowodnić, że nie poszłam z tobą dobrowolnie.

- To nie są Stany Zjednoczone - powiedział łagodnie. - Chociaż jesteś księżniczką Alyssą, księżną Celestii, w tej części Verdonii rządzi von Folke. Jego słowo jest tu prawem. Może mnie wtrącić do więzienia i nikt nic nie będzie mógł zrobić.

- Ale tylko w Avernos, prawda? Nie może cię wygnać z całego kraju?

- Może... I zrobi to, gdy zdobędzie tron.

- Nie! Nigdy na to nie pozwolę. Popatrzył na nią smutno.

- Nie powstrzymasz go. - Musnął pocałunkiem jej czoło. - Ale nie martwmy się tym, co przyniesie jutro. Mamy całą noc. Nie traćmy czasu.

W oczach Alyssy zaszkliły się łzy.

- A jeśli ja chcę więcej niż jedną noc?

- Nigdy nie zakładaliśmy, że nasz związek będzie trwały. Taka była umowa, pamiętasz? - Zamilkł. - A może coś się zmieniło? - spytał z nutką nadziei w głosie.

- A... jeśli tak? A gdybym powiedziała, że chcę więcej niż tylko przelotnej znajomości?

- Jak bardzo więcej? - Musiał usłyszeć to wprost. Odetchnęła głęboko.

- Gdybym chciała, żeby nasze małżeństwo było prawdziwe, co byś na to powiedział?

- Powiedziałbym, że to nie wystarczy. Oczekuję więcej od mojej żony, od kobiety, z którą miałbym spędzić resztę życia.

- A gdybym... - Drżała cała. - Gdybym powiedziała, że cię Kocham? Gdybym powiedziała, że Kocham cię bardziej, niż potrafiłam sobie kiedykolwiek wyobrazić, że to możliwe?

Zacisnął powieki. Miał ochotę krzyczeć z radości.

- Pytasz? Czy mówisz to, co powiedziałaś?

- Kocham cię, Merricku - powiedziała bez wahania.

- Niczego więcej nie chciałem usłyszeć. - Ujął w dłonie jej twarz. - I ja ciebie Kocham, księżniczko. Stale, wciąż i na zawsze. Jesteś dla mnie wszystkim. I chciałbym spędzić z tobą resztę życia.

Chwyliła go za głowę, pociągnęła w dół i pocałowała. Żarliwie i zachłannie. Potem chwyciła brzeg jego koszulki i ściągnęła ją z niego.

Gwałtowność pocałunku, jego zmysłowość, pchnęły go na krawędź namiętności. Wpił się w jej wargi i całował bez opamiętania. Po chwili i ona została bez bluzeczki.

Była śliczna. Nagie, mlecznej barwy piersi zwieńczone brązowymi sutkami aż się prosiły, by ich posmakować. Kiedy ścisnął sutkę wargami, pisnęła cicho. Poczwała, że zmięły jej kolana. Merrick wsunął dłonie między ich gorące ciała i odszukał guzik jej dżinsów. Rozpiął go jednym szarpnięciem.

- Nigdy nie pragnęłam żadnego mężczyzny tak jak ciebie. - Głaskała go po piersi, po brzuchu. - Pragnę cię.

- Proszę bardzo. - Przywarł do niej, objął ze wszystkich sił. - Jestem cały twój.

- Nie. - Gwałtownie pokręciła głową. - Nie chodzi tylko o seks. To mi nie wystarczy.

- Naprawdę? Sądziłem, że jestem niezły. Spojrzała mu głęboko w oczy.

- Seks... jest dla każdego, zawsze. To łatwe. A ja nigdy nie szukałam łatwych dróg. Zawsze chciałam więcej.

Zrozumiał.

- Ale bałaś się sięgnąć po więcej, prawda, księżniczko? Zadrzała. Trudno jej było mówić. Otworzyć serce.

- Całe życie spędziłam w biegu. Wciąż przed czymś uciekałam. Mama dała mi bolesną lekcję. - Z trudem przełknęła ślinę. - Boję się zatrzymać.

- Zrób więc sobie przerwę. Tylko na jedną noc. - Pocałował ją delikatnie. - Ciesz się chwilą. Jutro zawsze będziesz mogła uciec.

- Nie potrafisz tego zrozumieć, bo zawsze miałeś to wszystko. Dom. Rodzinne korzenie. Bezpieczeństwo. - Przytuliła się do niego i zacisnęła powieki. - A ja nie mam swojego miejsca na ziemi. I nigdy nie miałam.

- Czy chodzi o to, że nie masz swojego miejsca, czy może o to, że odwróciłaś się od tego, czego pragniesz najbardziej, bo się boisz zaryzykować? Powiedz mi.

- Boję się - wyszeptała. - Chcę mieć swój ką. Ale boję się zaryzykować. Dlatego mówię sobie, że nie mogę go mieć. Że w ogóle tego nie chcę.

Czemu nie widziała, że rozwiązanie było takie proste?

- Ależ masz swoje miejsce, kochanie. Przy mnie. Teraz i na zawsze.

Chwycił dłonią jej włosy i uniósł jej twarz ku swojej. Spróbował pocałunkami zetrzeć z niej ból. Głaskał przy tym jej ramiona. I czuł jej drżenie.

Pod wpływem jego dotknięć krew w jej żyłach zaczęła wrzeć. Wpiła się w jego usta, wcisnęła w nie język. I z wolna pożądanie zaczęło brać górę. Nie przerywając szalonego pocałunku, Merrick chwycił ją za biodra i uniósł do góry. Oplotła go nogami w pasie, ile miała sił. Kręciła biodrami, ocierała się. Coraz szybciej, coraz mocniej. Szorstkie płótno jego dzinsów wyzwalalo kolejne fale rozkosznych doznań. Zaczynała odchodzić od zmysłów.

- Proszę. - Znieruchomiała. Objęła go ze wszystkich sił, żeby się nie mógł poruszyć. - Zaraz będzie po wszystkim.

Trącił palcem sterczącą niecierpliwie sutkę.

- Mam nadzieję, że jest tu sypialnia.

Przełykała z trudem ślinę. Dygotała. Oddychała ciężko. Czuł, że jeden tylko ruch dzielił ją od przekroczenia granicy.

- Znajdź ją - wychrypiała. - Szybko. Zaraz będzie za późno.

- Już jest za późno. Zrobimy to tutaj.

Znowu wpił się w jej usta. Postawił ją na podłogę. Ich ręce splątały się, gdy niecierpliwie zdejmowali z siebie nawzajem spodnie. Dudnienie krwi w uszach ogłuszało. Żar rozpalał krew. Zapach jej ciała doprowadzał go na skraj szaleństwa. Nie czekał ani chwili. Kiedy wtargnął w nią, gwałtownie i brutalnie, krzyknęła. Przywarła do niego ze wszystkich sił.

- Jeszcze. Jeszcze. Jeszcze.

Kto to krzyczał? Mieszały się głosy. Serca tłukły się o żebra. Eksploдовали...

Patrzyła mu w oczy nieprzytomnym spojrzeniem. Dyszała.

- To było... To było... - Głos jej się łamał. - Nie mam pojęcia, co to było. Ale lepiej, żebyś umiał to powtórzyć.

- O! Tak.

W końcu znaleźli łóżko i padli na nie, wyczerpani. Przywarła do niego, przytuliła się. Głaskał ją delikatnie. Starał się uspokoić. Była przerażona. Bała się, że w każdej chwili do pokoju może wejść Tolken lub któryś z jego ludzi i wyciągną Merricka. Uniosła powieki i zobaczyła obrączkę na jego palcu. Westchnęła ciężko.

- Jesteś moim mężem.

- Jak długo zechcesz. Odgarnęła mu włosy z czoła.

- Niedługo po ciebie przyjdą - wyjąkała. Wzruszył ramionami.

- No to mamy jeszcze trochę czasu - odparł.

- Nie wiem, jak to zniosę, gdy cię zabiorą. Potrzebuję ci?-

- Mogę dać wszystko, czego potrzebujesz. Bez dyskusji - powiedział z wielką pewnością w głosie.

Jej drżące wargi wygięły się w uśmiechu.

- Nie wiesz, czego pragnę albo potrzebuję. Możesz sobie tylko wyobrazić. Zgadywać.

- A więc powiedz mi - poprosił bardzo poważnie. Zajrzała mu w oczy. Zobaczyła w nich walczące o lepsze pokusę i niechęć.

- Gdybyś był mądry - szepnęła - pozwoliłbyś mi odejść. Nie jestem w twoim typie.

- Nie mogę. Nie chcę. - Poczuł, że przytuliła się do niego mocniej. - Powiedziałaś, że mnie kochasz, że chcesz być ze mną. Twój dom jest w Celestii. Są tu ludzie, którzy cię kochają i potrzebują. Zostań.

Natychmiast spostrzegł, że to był błąd. Zesztywniała, najwyraźniej przestraszona.

- Zawsze tak właśnie prowadzisz negocjacje? Zawsze się starasz osiągnąć cel za wszelką cenę?

- Tak. - Nie zdołał powstrzymać uśmiechu. - Ale jeśli ma to dla ciebie jakieś znaczenie, argumentów seksualnych użyłem tylko wobec ciebie.

Głośno wypuściła powietrze i obróciła się na plecy.

- Oczywiście - prychnęła. - W końcu dotychczas dawały świetne efekty, prawda? - Przetarła oczy, jakby się budziła z głębokiego snu. - Wiesz, co myślę? Ja nie potrafię żyć w jednym miejscu. Nie mogę uwierzyć, że w ogóle rozważałam taką możliwość.

- Co ona ci zrobiła, Alysso? Nie udawała, że nie rozumie.

- To nie jest wina mojej mamy. Niezupełnie. Mogłam iść inną drogą, a nie ciągle jej śladem.

- Nie pojmuję.

- Nie zwróciłeś uwagi na jej ręce, prawda? - Pokręciła głową. - Nie, na pewno nie. Nie miałeś okazji.

Merrick zmarszczył czoło. Usiłował sobie przypomnieć Angełę. Widział ją tylko przelotnie, ale zapamiętał dobrze. Zawodowy odruch. Zauważył, że była drobna, że miała jasną karnację. Że stała nieruchomo, z ramionami opuszczonymi wzdłuż boków. Ale nie przypominał sobie niczego szczególnego, co dotyczyłoby jej rąk.

- Nie, nie zauważyłem niczego - przyznał. - O co chodzi?

- Połamano jej, kiedy była dzieckiem. Palec po palcu.

- O Boże!

- Szczegóły nie są istotne. Powiedzmy, że znęcano się nad nią w każdy możliwy sposób.

Gniew ścisnął go za gardło.

- Czy została odebrana rodzicom?

- Tak. Trafiała do rodzin zastępczych. Wielu. Tam chyba nie spotkała jej żadna krzywda. W każdym razie nigdy nic na ten temat nie wspomniała. Po prostu nikt jej nie pomógł. Kiedy miała szesnaście lat, odeszła. Zacisnął powieki.

- I wtedy zaczęła się ucieczka.

- Właśnie. Większość życia poświęciła na bezskuteczne poszukiwanie miłości. Nigdy jej się nie udało, ale wciąż miała nadzieję, że znajdzie ją za następnym rogiem. - Zacisnęła usta. - Albo z następnym mężczyzną. Jej mężowie w większości byli starsi od niej. Myślę, że mieli jej zastąpić ojca.

- Jak księżę Frederick?

- Był starszy od mamy? - zdziwiła się.

- Jakieś dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat.

- Mój brat też jest pewnie starszy, prawda?

- Ma chyba czterdzieści pięć lat.

- Nie wiedziałam. - Głośno wypuściła powietrze. - A więc historia znów się powtórzyła.

- Najwyraźniej. - Przez kilka chwil rozważał wszystko, co usłyszał. - Dobrze rozumiem twoją mamę i jej motywacje. Ale jak ty się w tym znalazłaś?

- Kocham ją - powiedziała po prostu Alyssa. - Tylko ja byłam w jej życiu czymś stałym i pewnym. Od chwili moich narodzin zawsze byliśmy razem. Stale w pogoni. Dwie zwariowane optymistki w poszukiwaniu złotego skarbu na krańcu tęczy. Tak właśnie o tym mówiła.

- Czyli i w twoim przypadku chodzi o honor i poczucie obowiązku. No i o chronienie kogoś, kogo kochasz. - Z wyrazu jej twarzy wyczytał, że nigdy nie myślała o tym w taki sposób. - A teraz? Dokąd teraz podążysz?

- Jestem taka zmęczona, Merricku - mówiła coraz ciszej. - Chciałabym się zatrzymać. Może zostać gdzieś na dłużej. Niech, dla odmiany, tęcza mnie odnajdzie.

Pogłaskał ją po czole.

- Może byś została na dłużej niż chwilę? - spytał cicho. - Co powiesz na na zawsze?

- Byłoby to możliwe, gdyby nie pewien mały problem. - Słabym uśmiechem usiłowała pokryć ból. - Jedyna osoba, dla której chciałabym tu zostać, zostanie wtrącona do więzienia przez księcia Brandta. Czy to nie ironia losu?

Wstał z łóżka i z kieszeni spodni wyciągnął atlasową sakiewkę. Szybko wrócił do Alyssy. Objął ją i wsunął na palec pierścionelek.

- To dla ciebie - powiedział.

Rozpoznała pierścionek, który oglądała w sklepie Mars tona „Legenda”. Ten, który był symbolem zjednoczenia bratnich dusz nieśmiertelną miłością. Patrzyła na niego z niedowierzaniem. Mocniej objęła Merricka.

- Jak? Kiedy? Dlaczego? - spytała.

- Dlaczego? - Uśmiechnął się miękko. - Ponieważ jest stworzony dla ciebie. Jak i kiedy, były trochę trudniejsze. Ale znalazłem sposób. - Spoważniał. - Zamierzałem ci wręczyć go w lepszym, jakimś wyjątkowym momencie, ale teraz nie wiem, czy on nadejdzie.

Zamknęła jego twarz w dłoniach i pocałowała go.

- To jest wyjątkowa chwila - zapewniła.

Resztę chwil, które im zostały darowane, Alyssa zamieniła w najbardziej wyjątkowe w swoim życiu.

Książę Brandt posłał po Alysę następnego dnia wczesnym rankiem. Nie wiedziała, czego się miała spodziewać ani czego mógł od niej chcieć.

- Usiądź, proszę. - Podał jej krzesło. - Musimy porozmawiać.

- O czym?

- Po pierwsze, chciałbym cię przeprosić. Wciągnąłem cię w sytuację wyjątkowo niezręczną. To był mój błąd.

- Próbowalesz mnie zmusić do małżeństwa - rzuciła twardo. - A moją mamę wykorzystałeś jako zakładniczkę. To nie był błąd. To było skandaliczne.

- Były ku temu powody. Poważne powody. - Nie słysząc było w jego głosie wyrzutów sumienia.

Gniew ścisnął ją za gardło.

- To, że chciałeś zostać królem? To jest, twoim zdaniem, ważny powód?

Otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz się rozmyślił.

- Nie mogę się zgodzić z taką oceną - odparł po chwili. Przyglądał jej się w ciszy. - Byłaś tylko pionkiem, Alysso. Pionkiem, którego użyłem, nie bacząc na to, jak to wpłynie na twoje życie.

- W ogóle cię to nie interesowało.

- Masz rację - przyznał. Tym razem z prawdziwym ubolewaniem. - Gdyby istniał inny sposób, na pewno bym tak nie postąpił. Ale nie było. Nadal nie ma.

- Nie zamierzasz chyba wsadzić Merricka do więzienia? - Spróbowała wykorzystać okazję. - Porwałeś mnie, pamiętasz? Można uznać jego działania za akcję ratunkową.

Brandt wzruszył ramionami.

- Moje księstwo, moje prawa. Wyrok pozostaje w mocy. -I co teraz? Mnie też zamierzasz potraktować w taki sposób, jeśli ci nie powiem, z kim wzięłeś ślub?

- Myślałem raczej o przekupstwie. Co ty na to? Ty i twoja matka wsiadacie do najbliższego samolotu do Nowego Jorku. Z Merrickiem u boku. Zainteresowana?

- Nie, dziękuję. Westchnął.

- Nie mów mi, że Montgomery namieszał ci w głowie swoimi idealistycznymi bajkami o honorze i poczuciu obowiązku.

Pochyliła głowę na bok.

-Wiesz, jeszcze kilka godzin temu mogłeś wygrać w ten sposób. Ale mój mąż zwrócił mi uwagę na pewien interesujący fakt. Ja naprawdę

wierzę w honor i poświęcenie, i w chronienie tych, których kocham.

Gdyby było inaczej, nie siedziałabym teraz tutaj. - Uśmiechnęła się zimno.

- A więc, nie. Nie namieszał mi w głowie.

- Honor i poświęcenie? Naprawdę? - spytał zaintrygowany. - Mówisz poważnie?

- Jak najbardziej.

- Niech zgadnę. - Wyglądał na rozbawionego. - Zamierzasz uratować Verdonię przed księciem z piekła rodem.

-Tak.

-I jesteś gotowa przysiąc na swój honor, że Montgomery cię nie uprowadził. -Tak.

- Współpracowałaś z nim.

- Przez cały czas.

- Żeby nie wyjść za mnie.

- Dziwisz się?

-I gdy tylko nadarzyła się sposobność, uciekłaś z Montgomerym. -

Tak.

- I pozwoliłaś Miri zająć twoje miejsce.

- Tak. Nie. Nie! - Panika. Błąd. Za późno. Dała się podejść.

Zamknęła oczy. - Skąd wiesz?

- Domyśliłem się. Ale dziękuję za potwierdzenie. I jeszcze ostatnie pytanie. Gdzie ona jest?

- Nie wiem. - Zamrugnęła, żeby powstrzymać łzy. -Mówię prawdę.

- Tak. Widzę. Nie umiesz kłamać, panno Sutherland.

- Mówisz to tak, jakby to było coś złego.

- W mojej sytuacji może tak być. Przekonasz się za minutę. -

Podniósł słuchawkę telefonu. - Przyprowadzić ich.

- Nigdy się nie dowiesz, jaka jestem szczęśliwa, że za ciebie nie wyszłam - powiedziała z goryczą.

- Może trudno ci będzie w to uwierzyć, ale ja też. Pochylił się, oparty o biurko, i uśmiechnął się ciepło.

Zauważyła wtedy, że jest zdumiewająco przystojny.

- Nie przejmuj się aż tak bardzo - powiedział. - Twój mąż ma bardzo opiekuńczą naturę. A kilku kobiet gotów jest bronić w sposób szczególny. Matkę. Żonę.

- Na mgnienie oka głos mu zadrżał. - I siostrę. Potrzeba było tylko spokojnego namysłu, żeby do tego dojść.

- Parsknął ponurym śmiechem. - Muszę przyznać, że trwało niemal całą noc, zanim zdołałem się uspokoić i zacząłem myśleć logicznie.

- Ale po co to wszystko?

- Z powodu Miri. - To wyznanie zaskoczyło ją. - Kiedy w końcu zrozumiałem, potrzebowalem kogoś, kto by potwierdził moje przypuszczenia.

Alyssa skrzywiła się. Znalazł kogoś wystarczająco głupiego, kto się wygadał. Nie zdążyła jednak nic powiedzieć, gdyż Tolken przyprowadził Merricka i jej mamę.

Księżę Brandt wstał.

- Z zadowoleniem przyjmiecie wiadomość, że doszliśmy z Alyssą do porozumienia. - Skłonił się ku Alyssie z galanterią. - Dziękuję, księżniczko. Przy twojej pomocy zidentyfikowałem Miri jako moją żonę.

Wszyscy troje zostaniecie natychmiast odwiezieni na lotnisko, gdzie czekają już na was miejsca w pierwszej klasie samolotu do Nowego Jorku.

Merrick szarpnął się gwałtownie w stronę Alyssy, lecz strażnicy zatrzymali go w miejscu. Twarz posiniała mu z gniewu.

- Coś ty zrobiła? - zawołał. - Powiedziałaś mu? Dlaczego, Alyssso? Jak mogłaś zrobić coś takiego?

RS

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Alyssa rozpaczliwie potrząsnęła głową.

- Nie jest tak, jak myślisz - powiedziała słabo. Nie zdążyła niczego wyjaśnić.

- W pewnym stopniu zazdrozczę ci, Montgomery -ironizował ksiązę Brandt. - Życie w Stanach Zjednoczonych u boku ślicznej, inteligentnej i skorej do współpracy żony, która wkrótce zostanie asystentką dyrektora działu kadr w Bank International. Ciche i spokojne życie. O niebo lepsze niż w celi więziennej, zgadasz się?

- Zdejmij mi te kajdanki, a pokażę ci, jak się zgadzam.

Brandt pokręcił głową.

- Chyba odłożymy to na inny czas i miejsce. - Podał Tolkenowi kopertę. - Tu są bilety. Panie pojedą limuzyną, która zaraz podjedzie. Co do ciebie, Montgomery, to raczej nie zaufam ci na tyle, byś mógł pojechać z nimi. Tolken i jego ludzie mają furgonetkę dużo lepiej przystosowaną do przewozu przestępców. Nie jest może tak wygodna, ale chyba rozumiesz konieczność. Tak jak zrozumiesz chyba, że chwilowo nie zdejniemy ci kajdanek.

- Nie mam zamiaru opuścić Verdonii.

- Spodziewałem się, że to powiesz - powiedział Brandt ze śmiechem.

- Dlatego, na wypadek twojej odmowy, przygotowałem cele dla twojej żony i teściowej. Twój wybór, Montgomery.

- Nie możesz tego zrobić - krzyknęła Alyssa. - Nie zrobisz tego, prawda? Wszyscy mi powtarzają, że jestem księżniczką. To ma chyba jakieś znaczenie.

Brandt wzruszył ramionami.

- Powiem raz jeszcze: moje księstwo, moje prawa. Może nie będę mógł zamknąć cię na zawsze, ale przytrzymam wystarczająco długo.

- Moja żona w więzieniu. Kusząca propozycja - rzekł drwiąco Merrick, zerkając na Alysę.

- Ale nie zdecydujesz się, prawda? - spytał Brandt. Zanim odpowiedział, namyślał się chwilę. Alyssa poczuła lód na plecach.

- Jeśli to ma oznaczać, że ona nie wróci do Verdonii już nigdy, to zgoda - przystał. Zanim strażnik zdążył zareagować, podszedł do niej. - Dobrze, że potrafisz szybko uciekać, księżniczko. Ponieważ kiedy będę już wolny, będziesz musiała pędzić szybciej niż ja. - Przeszył ją lodowatym spojrzeniem. - Uwierz mi, nie chciałabyś, żebym cię dopadł.

- Merricku...

Nie spojrzał na nią więcej. Ruszył do drzwi.

- Na co czekamy? - zwrócił się do Tolkena. - Wynośmy się stąd.

- Zdradziła cię, mój stary przyjacielu.

- Zamknij się, Tolk. Furgonetka pędziła autostradą.

- Nie zamartwiaj się. Kobiety to słabe istoty.

- Może niektóre. Ale nie Alyssa.

- Chcesz powiedzieć, że jest dość silna, żeby się oprzeć przesłuchaniu księcia Brandta? To by oznaczało, że cię jednak zdradziła. Oburzające. Taka kobieta na pewno nie powinna rządzić Celestią. Lepiej dla Verdonii, że się jej pozbyliśmy.

Merrick zacisnął zęby.

- Nie to miałem na myśli.

- A co miałeś na myśli? Może jej zdrada to twoja wina? - dodał po chwili milczenia.

- Co ty wygadujesz?

- Uprowadziłeś ją w imię wyższego dobra. Mam rację? Dałeś jej doskonały przykład. Bez wątpienia zdradziła Miri z podobnych pobudek. Oczywiście, w tym przypadku chodziło o większe dobro jej... i jej matki. - Zastanowił się. - No, może i twoje.

Merrick nie podjął tematu.

- Wiesz, że nie wsiądę do tego samolotu, prawda?

- Wiem, że będzie to wymagało użycia siły. Na szczęście mam dosyć ludzi.

- Nawet jeśli ci się uda, wrócę.

- Z żoną? - Tolken przekrzywił głowę. - Czy bez niej?

- Bez - odparł bez wahania.

- W takim razie książę Brandt upoważnił mnie do zaproponowania ci układu.

- Jakiego układu?

- Sprawa jest prosta. Zrezygnuj z dowództwa Królewskich Sił Specjalnych i wróc do Verdonu. Zostań tam. Cicho. Żyj długo i szczęśliwie z dala od spraw publicznych. Jeśli się na to zgodzisz, książę Brandt gotów jest uznać cały ten incydent za niebyły. Merrick parsknął śmiechem.

- Czyli, jeśli będę siedział cicho, nic mi nie zrobi, tak? Zwłaszcza do wyborów. - W zamyśleniu spoglądał za okno. - A co z Alyssą?

- Co z nią? Wróci do Nowego Jorku. Oczywiście księżę Brandt nie by nie mógł poradzić, gdyby postanowiła zostać w Verdonii wbrew jego ostrzeżeniom. Lotnisko leży na ziemi Celestii. - Wydał wargi. - Ale skoro już pytasz, powiem ci, że nie nadawała się do roli księżniczki.

- Nie znasz jej - warknął Merrick. Tolken chrząknął.

- Wiem jedno - wycedził. - Jest w stanie zdradzić męża. Bez wątpienia starannie ukrywała tę cechę przed tobą. W przeciwnym razie na pewno byś się z nią nie ożenił. Ta twoja żona to bardzo przebiegła kobieta.

- Zamknij się, Tolk. Ona nie jest taka. Wierzy w honor i poświęcenie równie mocno jak ja. Chroni ludzi, których kocha. Dla ratowania matki zaryzykowała wszystko. Wszystko poświęciła.

Już w chwili, kiedy wypowiadał te słowa, pojął ich znaczenie. Co za idiota ze mnie, pomyślał. Głowa opadła mu na piersi. Psiakrew, psiakrew, psiakrew. Powinien natychmiast ustąpić ze stanowiska. Nikt tak głupi nie powinien stać na czele narodowych sił bezpieczeństwa.

- Może i masz rację - przyznał Tolken. - Nie znam aż tak jej charakteru. Ale jedno wiem na pewno.

Merrick wolno uniósł głowę. Wszystkie kawałki układanki zaczęły mu wreszcie pasować do obrazu.

- Co takiego? - spytał.

-Twoja żona to wytrawna pokerzystka, ale księżę Brandt to prawdziwy mistrz.

Merrick milczał. Rozmyślał gorączkowo.

- Zdejmij mi kajdanki i daj mi telefon - rzucił po chwili. - Szybko. Muszę zatrzymać samolot.

- Najwyższy czas. - Tolken uśmiechnął się.

Kiedy przyjechali na lotnisko, strażnicy księcia Brandta przeprowadzili Alyssę i jej mamę przez kontrolę. Starła się, jak mogła, opóźnić marsz. Wciąż się za siebie oglądała. Ale Merrick nie nadchodził. Następne dwie godziny spędziła, krążąc nerwowo po prywatnym saloniku.

A on wciąż nie przybywał.

- Nie rozumiem - wybuchła. - Jechali tuż za nami. Powinni już tu być.

- Może będą go trzymać w furgonetce aż do ostatniej chwili? - próbowała ją uspokoić mama.

Alyssa zwróciła się do strażnika.

- Na pewno masz telefon. Zadzwoń do Tolkena i dowiedz się, gdzie są.

- Bardzo mi przykro, Wasza Wysokość. Nie mogę tego zrobić.

Minęła kolejna godzina. Rozległo się pukanie do drzwi i Alyssa poderwała się niecierpliwie. Ale zamiast jej męża, do saloniku wszedł urzędnik lotniska.

- Mogą już panie wejść na pokład - poinformował. Mimo protestów, strażnicy zaprowadzili je do bramki.

- Zaczekajcie, proszę. - Alyssa próbowała zyskać jeszcze trochę czasu. - Muszę porozmawiać z Merrickiem.

- To będzie możliwe, kiedy wejdzie na pokład, Wasza Wysokość.

- Nie rozumiesz. - Z trudem tłumiała łkanie. - On nie przyjedzie. Wiem to. Myśli, że go zdradziłam. I musi chronić siostrę. Nie opuści Verdonii.

- Zapewniam, Wasza Wysokość, że nie będzie miał wyboru.

Zaprowadzono je na przód samolotu, do pierwszej klasy. Kiedy usiadły, Angela podała córce trzecią chusteczkę do ocierania łez.

- Posłuchaj, kochanie, mimo że płaczesz, muszę ci coś powiedzieć. - Rozejrzała się dookoła i ściszyła głos do szeptu. - Coś o twoim ojcu.

- Już wiem - wybąkała Alyssa. - Merrick mi powiedział, że był starszy od ciebie.

- Nie. Nie o to chodzi. Nie tylko o to. Ale jest jeszcze coś, co powinnam była powiedzieć ci już bardzo dawno temu. Wyszłam za Freddyego dlatego, że był starszy ode mnie i czułam się przy nim bezpiecznie. Poznaliśmy się tydzień przed ślubem w Las Vegas. -

Nerwowo zaciskała powykręcane palce. - Ale to nie to muszę ci wyjaśnić.

Było coś w głosie mamy, co kazało Alyssie skupić się na jej słowach. Dzięki temu mogła też oderwać myśli od Merricka. Osuszyła oczy i słuchała z uwagą.

- O co chodzi, mamó? Co musisz mi powiedzieć?

- Chodzi o to, co się wydarzyło, kiedy przyjechałam tutaj z Freddym. Wtedy było już za późno, by coś zmienić. Byliśmy małżeństwem i nie mogłam tak po prostu go zostawić. Jak by to wyglądało już po tygodniu?

- Nie uciekłaś?

- Nie mogłam. Przede wszystkim dlatego, że nie miałam żadnego planu. Poza tym... - Jej szept stał się niemal niesłyszalny. - Wtedy... właśnie wtedy poznałam jego.

Alyssa poczuła lodowaty ucisk w żołądku.

- Kogo poznałaś?

- Erika, syna Freddy'ego. - Angela powoli uniosła głowę. Spojrzała córce prosto w oczy. - Twojego ojca.

Alyssa zaniemówiła.

- Chcesz powiedzieć... - Z trudem wydobywała głos z krtani. -

Chcesz powiedzieć, że mój brat jest w rzeczywistości moim ojcem?

- Tak. Formalnie rzecz biorąc, był moim pasierbem. Może mógłby być równocześnie i twoim bratem, i ojcem. Sama już nie wiem.

- Mamo...

- Tak mi przykro. Wszystko robię źle.

- Czy to ma jakiś związek z twoim przyjazdem do Verdonii?

- Mhm. - Zatrzepotała rzesami. Zerknęła na Alysę i uciekła spojrzeniem. Odchrząknęła. - Kiedy odeszłam od Jima, postanowiłam polecieć do Verdonii. Słyszałam, że Freddy umarł kilka lat wcześniej i pomyślałam, że może... może Erik i ja... - Opuściła głowę. - Chciałam go zobaczyć jeszcze raz.

- Udało ci się?

- Tak. O, tak.

- Wielki Boże, mamo. Co powiedział? Co zrobił, kiedy cię zobaczył?

- Och. Abdykował. Alyssa zaniemówiła.

- Przyjechałaś, żeby się spotkać z księciem Erikiem, władcą Celestii, i on abdykował. Ot, tak?

- Mniej więcej. Mówił coś o jakichś bardzo ważnych dokumentach, które znalazł, o tym, że musi uporządkować pewne sprawy. Powiedział też, że jeśli abdykuje, ty będziesz mogła rządzić Celestią, a wtedy on będzie mógł wrócić i ożenić się ze mną. Tylko... - Oczy się jej zaszklily. - Tylko że Erik zniknął. Zjawił się książę Brandt i poprosił, żebym została z nim. A Erika nie było. Nie wiedziałam, co robić. Pojechałam więc z księciem Brandtem. Kiedy się dowiedział, że Erik abdykował, a ty

będziesz mogła zająć jego miejsce, wszystko się zawaliło. Wtedy wpadł na ten szalony pomysł małżeństwa z tobą.

Alyssa sięgnęła po kolejną chusteczkę.

- Nadal możesz odnaleźć księcia Erika - powiedziała. - Wciąż możesz z nim być.

- Nie. Już jest za późno.

- Jeśli na to pozwolisz, żeby było za późno. Angela pokręciła głową.

- Zmarnowałam życie. Pozwoliłam, żeby moja przeszłość zrujnowała mi przyszłość. Pozwoliłam, żeby inni za mnie decydowali. - Po jej policzkach spływały dwie czarne strugi. Łzy i tusz do rzęs. - Tobie by się to nie zdarzyło. Jesteś silniejsza ode mnie. Jak twój ojciec. Wykorzystaj szansę. Możesz spełnić swoje marzenia.

- Nie, ja...

- Posłuchaj mnie, Ally. - Angela nigdy dotąd nie przemawiała z takim naciskiem. - Wsiądź z samolotu. Natychmiast.

- O czym ty mówisz?

- Chcę, żebyś wysiadła z samolotu i urzeczywistniła swoje marzenia.

- Wierzchem dłoni otarła mokre policzki. - Nie zastanawiaj się. Zrób to. Wstań i wyjdź.

- Nie mogę cię zostawić. Potrzebujesz mnie.

- Już nie. I tak trzymałam cię przy sobie zbyt długo. Kompletnie się pomieszały nasze role. To ja miałam być matką, a ty dzieckiem. A to ty przez cały czas się mną opiekowałeś.

- Chciałam tego, mamó. To był mój wybór. - Pocałowała jej zniekształconą dłoń. - Kocham cię.

- Od dziecka pragnęłam, żeby ktoś się mną zaopiekował. Żeby mnie pokochał. Bezgranicznie. Tak jak ty. - Angela urwała na moment. - Ale to ja byłam nie w porządku. I nie zamierzam pozwolić na to ani chwili dłużej.

- Nie mam po co wysiadać z samolotu. Merrick uważa, że go zdradziłam.

- Będziesz więc mogła mu wszystko wyjaśnić. - Puściła ręce córki. - Zdejmij pierścionek.

- Nie rozumiem.

- Zdejmij. W środku będzie inskrypcja.

- Skąd wiesz? - Zsunęła z palca ślubny pierścionek.

- To stara verdoniańska tradycja. Bardzo urocza. Taka prywatna korespondencja między mężem i żoną. Przeczytaj ją. Jeśli jest to coś beznadziejnego, jakies „Jesteś moją słodziutką mamuszką” czy „Niechaj to trwa wiecznie”, to będziesz wiedziała, że możesz spokojnie lecieć do Nowego Jorku i kupić sobie nowe buty. Ale jeśli jest to coś wyjątkowego, bardzo wyjątkowego, to obiecaj mi, że wysiądziesz z samolotu. Umowa stoi?

- Dobrze. Umowa stoi.

Alyssa podniosła pierścionek do światła. Przeczytała wygrawerowany napis i rozplakała się.

- O Boże! Słodziutka mamuska, tak? Alyssa pokręciła głową.

- Nie - powiedziała. - Muszę wysiąść, mamo. Natychmiast. - Uniosła się nieco i zastygła. - Strażnicy. Nie pozwolą mi wyjść z samolotu.

- Oczywiście, że pozwolą.

- Nie. Zatrzymają mnie.

- Pomyśl, Alyssa. Jeśli jest coś, na czym się znam, to jest to wydobywanie się z kłopotliwych sytuacji. A ta wcale nie jest aż tak bardzo kłopotliwa. - Mama uśmiechnęła się figlarnie. - Po prostu powiedz im, kim jesteś.

-Powiedzieć im... - Oczywiście. Alyssa nie zastanawiała się dłużej. Mocno uścisnęła mamę. - Chodź ze mną. Zrób to, mammo. Ty także możesz zrealizować swoje marzenia. Dowiemy się, co się stało z księciem Erikiem. I może znajdziesz wreszcie szczęśliwe zakończenie.

Nie czekała dłużej na decyzję mamy. Miała swoje życie, swoją przyszłość, o którą musiała walczyć. Ruszyła do drzwi. Strażnicy zablokowali jej drogę.

Wyprostowała się dumnie i rzekła:

- Jestem księżniczka Alyssa, księżna Celestii. Zejdź mi z drogi.

Zrobiła na strażnikach piorunujące wrażenie. Popatrzyli po sobie bezradnie. Nie wiedzieli, co powiedzieć. Ale nim zdążyli zareagować, z przodu samolotu przyszedł mężczyzna w mundurze. Kapitan albo drugi pilot.

- Powiedziała pani, księżniczka Alyssa?

- To ja.

- Nasz start został wstrzymany do chwili, aż opuści pani pokład - powiedział. - Zostaliśmy oskarżeni o próbę uprowadzenia księżnej Celestii. Zatem, gdyby pani zechciała...

- Z przyjemnością.

Strażnicy nie mieli wyjścia. Odsunęli się na boki. Kilka minut później Alyssa znowu stanęła na verdoniańskiej ziemi. Ku jej niekłamanej radości mama wysiadła razem z nią. Kiedy weszły do budynku lotniska,

przywitał je rozentuzjasmowany tłum. Najwyraźniej ktoś zdradził jej tożsamość. Kiedy szła wśród szpaleru, wszyscy kłaniali jej się z szacunkiem.

Dopiero przy drugiej próbie zdołała wydusić z krtani kilka słów.

- Dziękuję - powiedziała. - Nie macie pojęcia, ile to dla mnie znaczy.

- Czy zostaniesz z nami, księżniczko? - spytała któraś z kobiet.

Alyssa uśmiechnęła się szeroko.

- A dokąd miałabym pojechać? Przecież tu jest mój dom - odpowiedziała z przekonaniem.

- A pani mąż? - doleciał ją głęboki głos. - Co z nim?

Obróciła się na pięcie. Za nią stał Merrick. Długo tkwili bez ruchu, wpatrzeni w siebie. Tyle było pytań, które chciała zadać. Tyle chciała powiedzieć. Tyle spraw wytłumaczyć. Przeprosić. Tyle ran zaleczyć. Ale to wszystko w tym momencie nie miało znaczenia. Liczyła się tylko miłość, którą zobaczyła w złotych oczach.

Zrobiła krok. Potem drugi. I padła mu w ramiona. Wpili się w swe usta w gorącym pocałunku, który zastąpił wszystkie słowa.

- Nie powiedziałam mu - szepnęła, kiedy odzyskała oddech. - Przysięgam.

- Wiem. Zrozumiałem wszystko, chociaż trochę to trwało.

- Nie mogłam opuścić Verdonii. Nie mogłam opuścić ciebie.

-I to też zrozumiałem. - Zamknął jej twarz w swych magicznych dłoniach. - Nadal nie odpowiedziałaś na moje pytanie. Masz męża, księżniczko. Co zamierzasz z nim zrobić?

Policzki jej zadrżały.

- „Mój dom jest w twoim sercu”. Tak twierdzi pierścionek. Czyż można oczekiwać od „Legendy” czegoś więcej?

- Jednego.

- Czego? Zarumienił się.

- Ale to kicz - zmieszał się. Uśmiechnęła się przez łzy.

- Dalej, wojowniku. Chcę to usłyszeć. Co mówi pierścionek?

Porwał żonę w ramiona, przycisnął do piersi.

- On mówi „Dwie dusze przeznaczone sobie na zawsze”.

Zarzuciła mu ręce na szyję. Wtuliła twarz w jego ramię.

- Jedźmy do domu, Merricku - poprosiła, gdy wreszcie odzyskała mowę.

- Czy to jest twój dom, księżniczko? Czy odnalazłaś swoje korzenie?

- Dom. Korzenie. Do licha, odnalazłam nawet ojca! -Roześmiała się radośnie. - Wyjaśnię ci wszystko później.

Z zadowoleniem przekonała się, że przed dworcem czekał na nich brat Merricka. Przyjrzała mu się z zainteresowaniem. Chciała lepiej poznać szwagra, a być może także przyszłego króla. Obawiała się go trochę, ale szybko się okazało, że był człowiekiem miłym i bezpośrednim. A mamę oczarował szykiem i elegancją.

Odwiózł ich do Glynith. Chociaż cały czas padał deszcz, Alyssa w ogóle tego nie dostrzegła. Zbyt wiele spraw kłębiło jej się w głowie.

- Jak się zorientowałaś, że cię nie zdradziłam? - spytała Merricka, gdy tylko ruszyli.

- Tolken mi w tym pomógł. Zaskoczyłem cię, prawda? Kiedy już się uspokoilem na tyle, że zacząłem myśleć rozsądnie, uświadomiłem sobie,

że ty nigdy nie naraziłaś Miri na niebezpieczeństwo. Nawet gdy szło o moją wolność. Tym bardziej, gdy szło o twoją.

- Nawet kiedy szło o moją mamę - przyznała. - Gotowa byłam dać mu niemal wszystko, ale nie to. To była zbyt wysoka cena.

- Tam jest pałac - powiedziała cicho Angela. Słysząc było w jej głosie gorzki smak wspomnień.

Merrick zmrużył oczy przed promieniami słońca i objął żonę.

- Nie możemy zamieszkać tutaj, dopóki Kościół i państwo nie potwierdzą oficjalnie twojej pozycji. Ale to nie potrwa długo.

- A ty? Co ty będziesz robić?

- Postanowiłem zostać na stanowisku. Po moich doświadczeniach z von Folkem widzę, że Verdonia potrzebuje dobrego stróża. - Głowę skinął w stronę pałacu. -Przeniecę tylko moje centrum dowodzenia.

Alyssa patrzyła na swój nowy dom. Był taki, jak powinien być. Solidny. Trwały. Już nie będzie musiała uciekać. Na dnie duszy poczuła ukłucie lęku. Czy nie wzięła na siebie zbyt wielkiej odpowiedzialności? Gdyby nie Merrick u jej boku, kazałaby Landerowi zawrócić na lotnisko.

I wtedy zobaczyła. Powstała na jej oczach. Wyrosła z celestiańskiej ziemi, wysoka pod niebo, tęcza tak jasna, że oczy bolały od patrzenia. Rozpostarła się wprost nad pałacem. Merrick także ją zauważył. Obrócił głowę do Alyssy. Uśmiechnął się. Zrozumiał.

Alyssa chwyciła mamę za rękę.

- Spójrz, mamó. Miałaś rację. Tutaj była nasza tęcza. I po tylu latach znalazłyśmy ją.

Napotkała spojrzenie swojego męża. W jego oczach słońce rozpało złote ogniki. Wtedy zrozumiała, co było na końcu tęczy. Coś znacznie cenniejszego niż złoto. Przytuliła się do Merricka.

- Zabierz mnie do domu - wyszeptała.

- Pod jednym warunkiem.

- Jakim?

- Obiecasz mi, że będziesz szczęśliwa na zawsze. Udała, że się zastanawia.

- Jest tylko jeden sposób, żeby się tak stało - odparła cicho. - Z tobą.

Pocałował ją.

- Witaj w domu, moja kochana. Witaj w domu.